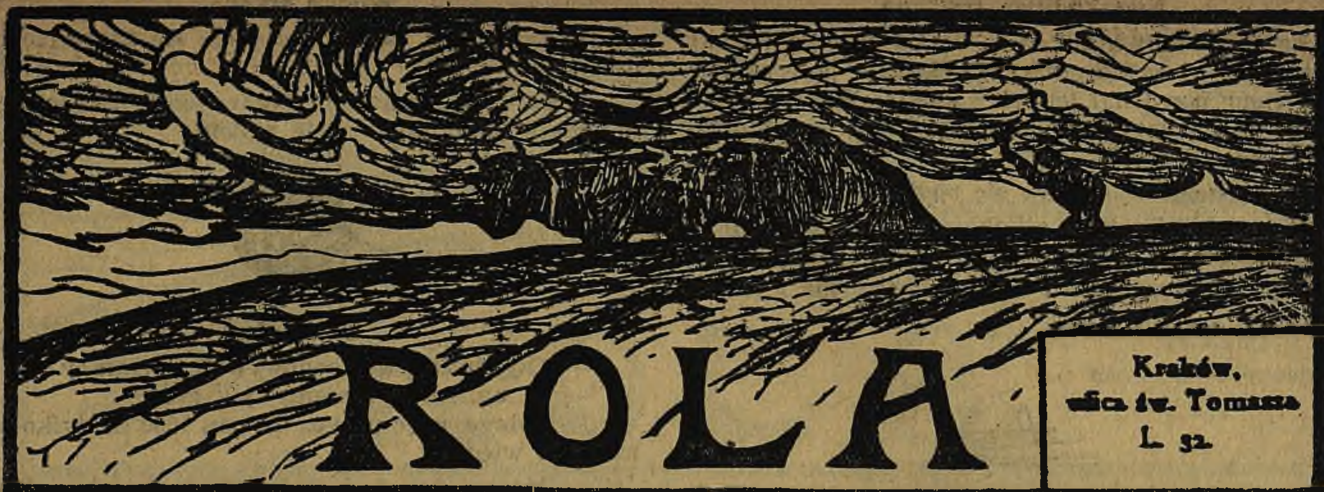
Numer 46. Należ. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 15 Listopada 1931



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Nieszkodliwa trucizna.

Pewien Szkot kupił w N. Jorku butelkę whisky. Oczywiście od przemytnika. Pokazuje ją przyjacielowi, który powąchał trunek i rzekł: „Wyrzuć to zaraz; to jest czysty alkohol metylowy, od którego można stracić wzrok".

Następnego dnia znów się spotykają.

„Co zrobiłeś z tym alkoholem metylowym?" — pyta przyjaciel.

„Sprzedałem memu wujowi. On już i tak od dwóch lat nic nie widzi".



Na wsi.

— Byliśta, Walentowo, u znachora?

— Byłam.

— Co wam poradził?

— Ano, całkiem mądrą dał mi radę, ino trudną do wykonania. Peda do mnie: — Na te oczy je jedne tylko lekarstwo. Weźta, peda, kobito, pięć węgielków drzewnianych, kużdy z jenszego pieca, polejta je wodą zebraną w piątek od świeżego deszczu, wodę zlejta do naczynia i przyniesta do mnie. Ja w tę wodę pięć razy napluję, potem ją zamówię, jak należy, a wy ją wypijeta trzynastego dnia, o dwunastej w nocy z lewej strony pod bramą cmentarną i będzie po chorobie.

— I co w tem trudnego?

— Nic. Ino skąd ja mu wezmę deszczu piątkowego, jeżeli u nas od miesiąca wcale deszczu niema, a jak popaduje, to w jensze dnie, a nie w piątki?

Wielka szkoda.

Mąż: Chwała Bogu! Pozbyłem się nareszcie reumatyzmu.

Żona: Jaka szkoda! Teraz nigdy nie będziemy wiedzieli, kiedy pogoda się zmieni.



Tajemnica.

— Czy umie pan dochowywać tajemnicy?

— O, umiem być niemy, jak grób.

— Dobrze, więc pożycz mi pan 1000 zł., tylko żeby nikt nie wiedział.

— Możesz pan być spokojny — ja jak gdybym o niczem nie słyszał.



Rozumowanie Jasi.

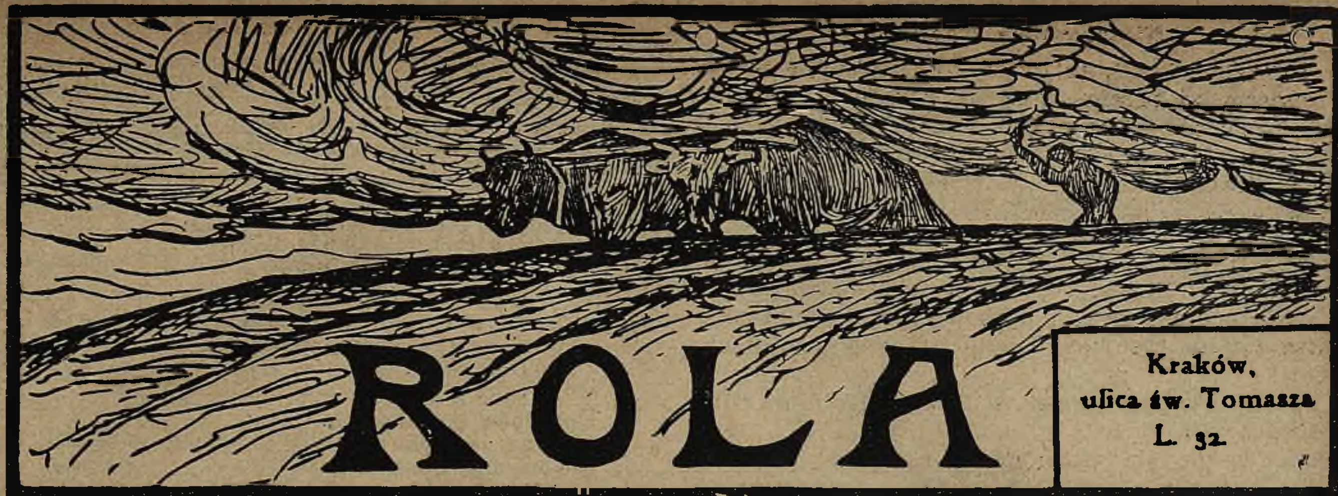
Jasia z zaciekawieniem przygląda się nieustannie płaczącemu nowonarodzonemu braciszkowi.

— Mamusiu, czy mojego braciszka anieli z nieba przynieśli?

— Tak, dziecino.

— Wyobrażam sobie, jak musieli się cieszyć, gdy pozbyli się wreszcie takiego wciąż wrzeszczącego bębna!

Numer 46. Rok XIV. Kraków, dnia 15 Listopada 1931.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz. półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.391 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Dziwna wolność i moralność.

Przyswoiliśmy sobie specyficzny sposób rozumowania, że w wolnem państwie, wolnemu obywatelowi wszystko wolno. Sprzeciwiamy się każdemu nakazowi, nie chcemy podporządkować się zbiorowej potrzebie, wspólnemu przymusowi. Odmawiamy szacunku władzy, twierdząc, że tylko przypadek zrządził ich wywyższenie i że każdy z nas może zająć ich miejsca. Każdy czuje się być wielkim Napoleonem, a nie chce być uczciwym szeregowcem, każdy pragnie dostojeństw, bez względu na wiek i płeć, oraz zasługi, bez względu na posiadany zasób wiedzy, inteligencji, zdolności i fachowości. Te zalety ducha wcale niepotrzebne. Wystarczy mongolski tupet, a czasem śmiałość i nawet bezczelność. Im większy „dureń“, więcej uzurpuje sobie prawo do kierowniczych stanowisk w rozmaitych działach życia społecznego.

By zdobyć władzę chociażby na małym odcinku, zatraciliśmy starą i żmudną drogę wytrwałej pracy, a przekradamy się krętemi ścieżkami kłamstw, obelg, szyderstw, chytrości, podstępu, tak nocą i chyłkiem, metodą Makchjawela: cel uświęca środki! Brniemy przez bagna i kałużę podłości, aby tylko szybko stanąć u celu, nie bacząc na skalane ciało i brudne sumienie... Języki nasze przemieniamy na jadowite żmije, szczególnie, gdy na drodze swego pędu spotykamy ludzi z rozumem, wiedzą, inteligencją i... taktem. Gdy zaś staniemy u celu, nie umiemy się poruszać, bo widzimy szalone braki i... swoje nieuctwo! Irytuje nas zawsze ten ktoś, kto ośmielił się być zdolniejszym, rozumniejszym i o całe niebo inteligentniejszym. Natenczas w jaskrawy sposób występuje u nas zazdrość piekielna, a często nikczemna, niska i podła zemsta. Uczucie wstrętne i pełne pogardy...

Na roli naszej wiele chwastu — ale wyrywajmy z korzeniem osty, ciernie i pokrzywy, chociaż ręce opadają i dłonie drętwieją. Chwastami są nasze wady: pycha — zarozumiałość — plotka — oszczerstwo, chęć zysku bez trudu i mozołu, chęć panowania i rozkazywania drugim! Wszyscy u nas chcą być generałami i ministrami, czy mają ku temu zdolności, czy nie, lub czy zasługują na to — a niema komu gęsi paść...

Słyszeliście kiedy o moralności? Stronnictwa, koterje i kliczki skaczą sobie do oczu i sypią kazania o moralności, niby z rękawa. Nie wiem, do czego taki eksperyment doprowadzi, bo przecież wrogowie u bram Rzeczypospolitej! Ja znam tylko jedną moralność, opartą o niewzruszone zasady religijne. Ta właśnie moralność obywatelska krytykuje rzeczowo, mówi, co jest złe, a co dobre, bez względu na to, do kogo się ta krytyka odnosi. Inna rzecz z moralnością partyjną. Ta zatracona dusza wylewa żółć i truciznę w stronę swych przeciwników w każdym wypadku, czy robią dla państwa dobrze lub źle. Moralność partyjna swoim członkom wszystko daruje, nawet z knowań przeciw własnemu państwu ich rozgrzeszy. — Nic też dziwnego, że przeklęte partyjnictwo nie znosi moralności obywatelskiej.

To, co się dzieje w polityce, widzi się w życiu społecznem między stanami, organizacjami zawodowemi, a nawet jednostkami. Zacięta walka wre

Mniejsza o środki, bo te nie odgrywają żadnej roli. Cel, osiągnięty choćby podłością, nikczemnością, cynizmem i pospolitem gałgaństwem należy do rzędu zwycięstwa, otoczony jest nimbem zadowolenia patrjotycznego i radością... Na każdem niemal polu króluje chamstwo ducha nietylko w samej polityce świata, czy danego państwa, ale nawet w literaturze i sztuce. Kiedyż wreszcie nastąpi zasada miłości chrześcijańskiej i odrodzenie dusz ludzkich?

MARJA WALLER.

DWA LISTY.

(Nowelka). (Dokończenie).

Na usta Twe dusza wybiegła... ująłem ją i w chłodny marmur wkułem... a teraz czekam. Czekam aż ciało za duszą zatęskni...

Przyjdź! wyciągam ku Tobie tęskniące warem krwi ramiona!! Przyjdź! o ubóstwiony cudzie mój!! Dla Ciebie będą tworzył i pracował, Ty będziesz mi radością i natchnieniem, osłodą w przeciwnościach i męce!!!

Czy jednak przyjdziesz, o ubóstwiana moja?!!!"

Nie przyszła.

Bała się biedy u boku człowieka, który dopiero zaczynał być sławnym! Żal jej było elektrycznych blasków kinkietów i tej odrobiny oklasków...

Lot ćmy w blask świecy...

I ujrzała go wieczorem w pierwszych rzędach krzeseł...

Twarz pobladłą cechował taki ból, że nie śmiała spojrzeć w jego stronę!

Wsunął się do garderoby, niosąc olbrzymią, odurzającą wiąź orchidei.

— Przyszedłem pożegnać Panią. Dziś wyjeżdżam do Paryża!

Drgnęła. Więc jakto? Już? tak nagle?

— Muszę. Koniecznie nieodwołalnie!

— Niech pan nie jedzie!... Proszę poczekać.. muszę się zastanowić, skupić w sobie! Naprawdę nie wiem... Ale... tak mi pana szkoda... wprost pomyśleć nie mogę!...

— Zostanę pod jednym tylko warunkiem!

— ?!!

— Że zostanie pani moją żoną!

— Nie mogę tak nagle... niech pan zrozumie!

— Wiem i rozumię! Dlatego niech pani wybiera!

— A więc dobrze! Zostanę pańską żoną za rok!

Zamyślił się. Po chwili potrząsł głową.

— Nie. Zaprzepaściłbym swą twórczość i nie uwierzyłbym nigdy w prawdziwość uczucia. Miłość nie wybiera! Nie chcę się z nikim dzielić panią, a tembardziej z jej wielbicielami.

— Ależ panie! Pan mi ubliża...

— Nie! Bo pani wie, że ją czczę i uwielbiam! Ja tylko kocham i chcę być kochany!

Rozpłakała się cichutko... a na jego twarz wypełzło ogromne cierpienie.

— Muszę już odejść. Proszę podać mi rączkę na pożegnanie... proszę nie płakać, ocząt szkoda — tulił jej rękę do ust długo, gorąco, wreszcie rzucił się ku drzwiom.

— Panie Adasiu! — dobiegło go w drzwiach.

Odwrócił się z błyskiem szalonego szczęścia w oczach.

— Proszę mnie pocałować na pożegnanie! — szepnęła zarumieniona aż po białka oczu.

Potrząsnął głową w milczeniu... i wyszedł spiesznie.

Zawrzała gniewem i zacięła się w uporze, oburzona do żywego w swej dumie dziewczęcej. Dopiero po latach zrozumiała, że pocałunek ten byłby nędzną karykaturą tego, zaklętego w marmur...

Przebywał stale zagranicą.

Tylko prasa donosiła o coraz nowych jego pracach, które przydawały nowy liść wawrzynu, do pokaźnego już wieńca sławy.

A ona rozczarowywała się zwolna i coraz większą pustkę czuła wokół siebie...

Dziesięć lat...

Wczoraj prześniła raz jeszcze marzenie szczęścia!

Śpiewała właśnie swój najnowszy „szlagier": „Skarga dziewczęcia":

„Z tęczy blasków, z zórz płomieni
Upleciona piosnka ma —
Szampan życia w niej się pieni,
Ale na dnie, smutek łka.
Bo jednej nitki złotej a pajęczej
Schwycić nie mogę. Tej jednej mi brak,
Co siatkę mocną omota i łączy
Dwa serca, które w zgodny biją takt.
Więc choć z blasków z zórz płomieni
Upleciona piosnka ma,
Chociaż szampan w niej się pieni,
Ale na dnie smutek łka".

Dziwnym zbiegiem okoliczności podobała się ta smętna piosenka...

Działała niby chłodny powiew na spalone pijackiem wyuzdaniem czoła widzów...

Oklaskom nie było końca.

Nagle w pierwszych rzędach ujrzała dwoje bliskich oczu, w wydłużonej w migdał oprawie, rozjaśniających rysy wyraziste, starożytne od fresków Ramzesowskiej epoki pożyczone...

Poniżej dwoje rąk silnych białych, które ani raz nie złożyły się do oklasków...

Jeden błysk ogromnego szczęścia...

— Przyszedł do mnie! Wrócił!

Radosne oczekiwanie, szaleńcze tętno krwi..... — i nic!

A raczej zdawkowy gest wielkopańskiej uprzejmości: olbrzymi wonny kosz. Tyle!

A ona myślała...

No tak. Ale skądże to? Tyle lat?

Więc dlaczego przyszedł?

Może chciał zobaczyć przedmiot swych uczuć.... może te kwiaty to wdzięczność?!

— Brr... czegoś mi zimno... głowa jak w ogniu! Czego ja chcę — dziś? Zapóźno!

Coś znikło... zbrukała się świetlana tarcza, zmatowiała, tracąc świeżość i połysk, niby owe storczyki więdnące... Jego storczyki!

Chociaż nie! nieprawda! Czuje się silną, młodą jak kiedyś...

Zerwała się i szybkim ruchem rozsunęła firanki: do pokoju wpadła jasna smuga światła. Nikły jesienny płomyk zamigotał w kryształowych cackach, przeglądnął się filuternie w tafli lustrzanej, zaglądając natrętnie w oczy uroczej „divy" badającej skrupulatnie każdy rys swej twarzyczki.

Widocznie egzamin wypadł pomyślnie, bo pani Zuza wyprostowała się dumnie i wyzywająco.

— Niech przyjdzie! zobaczymy!

„O ile Pan nie zapomniał maleńkiego epizodu z przed lat dziesięciu, zapraszam Pana na przyjacielską pogawędkę. Dziś mam wieczór wolny — pisała na wonnym arkusiku, koloru blado-lila.

Zakleiwszy kopertę, zadzwoniła.

— Zatelefonuj do biura adresowego i dowiedz się, gdzie mieszka rzeźbiarz Adam Żuk — rzekła do wchodzącej pokojówki.

— Słucham.

Wybiegła żywo.

— Aleje Jerozolimskie 16. Mieszkanie 2 — meldowała wróciwszy za kilka minut.

— Weź ten list i zanieś go pod tym adresem... Zaczekaj na odpowiedź!

— W tej chwili! — i znikła w drzwiach.

Zuza przeszła do sypialni i zaczęła ubierać się gorączkowo. Przerzuciła kilkanaście sukien, nie mogąc zdecydować się na żadną. Ta wydawała się jej skromną, tamta zbyt wyzywająca... Wreszcie wybrała prześliczną różową, harmonizującą przedziwnie z jej jasną cerą i takimiż włosami.

Ostatnie muśnięcie puszkiem, parę delikatnych podkreśleń i smuga subtelnej, wykwintnej woni, będącej kombinacją kilku kwiatowych zapachów.

Wróciwszy do buduaru, stanęła przed olbrzymiem zwierciadłem, przyglądając się raz jeszcze krytycznie całej swej postaci. Lustro odbiło prześliczny obraz....

Była zupełnie zadowolona.

Żeby już nadszedł! bo coś za długo trwa to oczekiwanie...

Dyskretne pukanie.

— Proszę! — zawołała niecierpliwie.

Pokojówka wniosła na tacy list.

— Zastałaś?

— Tak, proszę pani i przyniosłam odpowiedź.

— Dobrze. Możesz odejść.

Chwilę obracała w palcach bilecik, nie mając siły otworzyć koperty.

Wreszcie ujęła maleńki nożyk. Za sekundę przypadła błyszczącemi oczyma do równych energicznych znaków.

„Łaskawa Pani! — brzmiała odpowiedź. — Nieskończenie jestem wdzięczny za wielce mi miłe i zaszczytne zaproszenie. Niestety jednak, zmuszony jestem odmówić, gdyż obiecałem mojej narzeczonej, że spędzę z nią dzisiejszy wieczór. Sądzę, że łaskawa Pani uzna mnie za dostatecznie wytłumaczonego i raz jeszcze dziękuję serdecznie za pamięć i t. d.

Ręce Zuzy opadły bezwładnie... W sercu ból, w głowie zamęt i chaos.

Więc tak Tak kończy się wszystko?

Adasiu!!! Więc tyle? Ależ ja kocham cię! kocham bez granic!

Nie czujesz? Nie słyszysz? Adasiu! Adasiu!!

Opadła bezsilnie na poduszki kanapy i ciężki szloch zatargał jej postacią.

— Cóż mi po takiem życiu?

— Ciemno i smutno, zawsze sama...

— Miałaś miłość, odrzuciłaś... jak dziecko zabawkę! Igrałaś z ogniem, teraz płać!

— Płać, płać choćby życiem!

— To zapłacę!!!

Znów dyskretne pukanie.

Podniosła się ciężko i z trudem... W pokoju panowała już zupełna ciemność.

— Niema mnie w domu dla nikogo! — zawołała przez drzwi.

— Ale bo proszę pani, ten pan rzeźbiarz.....

Drzwi rozwarły się gwałtownie. Jasna smuga wdarła się do pokoju.

— Co?!!!

— Ten pan rzeźbiarz posłał te kwiaty i chce widzieć panią! — szeptała dziewczyna, patrząc z podziwem na zalaną łzami, zmienioną twarz swej pani, podając jej zarazem olbrzymi bukiet płomienno-purpurowych róż, wilgotnych od rosy.

— Zaraz, zaraz... — nie dokończyła jednak, bo w smudze światła zamajaczyła wysoka męska postać.

— To pan?

— Tak, to ja! — odparł barytonowy, wibrujący lekko wzruszeniem głos. Ale niechże panią ujrzę! — dodał, przekręcając kluczyk wyłącznika.

Subtelne, niewrażliwe światło zalało wytworny buduar, a w środku stała piękna Zuza, zmieszana jak złoczyńca przyłapany na gorącym uczynku.

— Pani płakała? — pytał ujmując ręce Zuzy — dlaczego?

— Bo było mi bardzo, bardzo źle i smutno! — żaliła się szczerze jak nigdy.

— Było? — zapytał patrząc głęboko w jej oczy — a teraz? A teraz?! Proszę, błagam o odpowiedź!

— Teraz... teraz już minęło!

Całował jej ręce serdecznie, tkliwie, pieszcząc każdy paluszek z osobna, rozkochany, szczęśliwy.

Łagodnie wysunęła ręce z namiętnego uścisku.

— A narzeczona?

Roześmiał się wesoło i zaglądając jej przekornie w oczy, pochwycił znów umykające mu ręce.

— Narzeczona, to był maleńki rewanż za te ubiegłe dziesięć lat. Nie było jej i niema, ale będzie może nareszcie!

— Adasiu! Jakżem szczęśliwa!

— Chyba nie więcej odemnie, ubóstwiana moja! Bo moja? Tak? Na zawsze moja?

— Twoja bez zastrzeżeń! Ot do takiej okruszynki — dodała figlarnie pokazując na różowym paluszku.

Krew zalała oczy mężczyzny. Z głuchym okrzykiem pochwycił Zuzę, oszalały szczęściem bez granic.

— Zuzo! Ukochana moja!!!

— Twoja na wieki!!!

Nieznana kochanka.

Tej niedzieli w październiku pogoda była prześliczna, a słońce, kryjące się na widnokręgu, pozostawiło za sobą ciepłe tchnienie, unoszące się nad daljami ogrodu, jakby w wiosenny wieczór. Doktór Villegrand — który zachował jeszcze pseudonim swój, słynny w Paryżu z powodu prac naukowych — siedział w skórzanym fotelu przy oknie swego gabinetu, zapatrzony na jesienny ogród. Palił fajkę, ale znać było, że myśli jego bujały daleko.

Niewiele już brakowało mu do siedemdziesiątki. Pozostał sam przy końcu doczesnej wędrówki. — Jeszcze kilka obrotów kół taczki życiowej i będzie po wszystkiem... Los wszystkich ludzi...

Drgnął znienacka na odgłos dzwonka.

Wkrótce potem Firmin, jego lokaj, zapukał do drzwi:

— Jakiś poczciwiec z naszej dzielnicy, jeden z naszych sąsiadów — bowiem mieszka o sto metrów stąd — chciałby poprosić pana doktora do chorej — staruszki — która przed chwilą straciła przytomność...

Doktor Villegrand powstał odrazu i wypukując fajkę na murze za oknem, rzekł:

— Powiedz, że zaraz przyjdę.

W drodze doktór rejestrował szczegóły, których mu udzielał jego towarzysz, przeplatając je tłumaczeniami i podziękowaniami.

— Wszyscy mieszkańcy domu będą panu wdzięczni, panie doktorze... Jest nas czterech lokatorów... Bardzo lubimy p. Marję... Zdaje mi się, że ma już około sześćdziesięciu ośmiu lat...

Gdy znaleziono się przed domem, doktór Villegrand poznał go ze zdumieniem na tle dawnych wspomnień... Starożytny i solidny dom, jakie budowano w dawnych czasach, miał obszerną sień, wyłożoną mozaiką, i schody w głębi. Było to na pierwszem piętrze.

W pokoju o wielkiem łóżku za wyblakłą kretonową kotarą, na trzcinowym fotelu, siedziała pacjentka, osoba dość otyła, o białych włosach nad pobladłą twarzą i wodziła po obecnych wielkiemi, zdziwionemi oczyma, które kiedyś musiały być bardzo piękne. Informowała się niepewnie, zdumiona tem, co z nią zaszło. Sąsiadka starała się uspokoić ją. Kilka dokładnych pytań i uważne badanie chorej zorjentowały lekarza: panna Bournay dobiegała końca swego życia. Tętnice groziły pęknięciem, serce gasło. Los chorej zależał od nowego ataku. Pozostawało tylko leczenie moralne dla osłody ostatnich chwil.

— Trzeba, żeby się pani położyła do łóżka. To drobnostka. Nic pani nie będzie pod warunkiem, że zachowa pani zupełny spokój... Czy ma pani kogo do zaopiekowania się nią?

Rozmawiając serdecznie i uspokajająco, doktór po tradycyjnym zastrzyku kamfory, rozglądał się po pokoju.

Na kominku, przy posążku Matki Boskiej, pod szkłem, stała pomiędzy dwoma lichtarzami z bronzu fotografja, która przykuła oczy doktora Villegrand. Nie mógł powstrzymać mimowolnego odruchu zdziwienia, gdy poznał własną podobiznę. Tak jest: fotografję swoją z lat młodzieńczych, w ramie... Gdzież był, u licha! Już widok domu zastanowił go... Czyżby pod tym dachem — pół wieku temu — mieszkała owa miła dziewczyna, bieliźniarka, czy też krawcowa — nigdy nie wiedział o tem dokładnie, z którą miał przelotną miłostkę? Och! zupełnie niewinnego charakteru... Kilka polek i walców przetańczonych w letniej sali tanecznej pod golem niebem, przy świetle weneckich lampionów, zawieszonych na drzewach. kilka czułych słów, szeptanych do ucha — — — kilka listów z fotografją — — — Tak, tak, przypominał sobie teraz — z fotografją, zrobioną u jarmarcznego fotografa — — — Ale jakie też było nazwisko tej małej?...

Zapytał:

— Czy ma pani jakich krewnych?

— Nie, doktorze.

— Ach! przepraszam. Sądziłem...

I wskazując palcem w kierunku kominka:

...Że to jest fotografja brata pani.

P. Bournay zawahała się na chwilę, a potem rzekła głosem cichym i zlekka zmieszanym:

— To mój narzeczony... Już dawno nie żyje...

Doktór „zdębiał“ na chwilę na to słowo „narzeczony“. A potem do zdumienia przyłączyła się litość. Biedna kobieta z pewnością cierpiała na lekkie pomieszanie zmysłów... Ale nie... Odpowiadała spokojnie i rozsądnie na postawione jej dalsze pytania.

Opanowawszy pierwsze zdumienie, doktór Villegrand zatopił się w myślach i wracał do domu ze wrokiem utkwionym w ziemię. Badał swoje sumienie i starał się skontrolować wspomnienia... Niekiedy nieświadomie dźwigamy zbrodnię w duszy.

Popełniamy zło, nie zdając sobie z tego sprawy tak, jak oddychamy bezwiednie. Wyrzut sumienia z domieszką czułości kładł się na duszy tego starca wobec nieznanej kochanki, która w ciągu długich lat pozostała mu wierna.

Każdego popołudnia składał jej wizytę lekarską. Coś jakby zażyłość powstało między nimi... Przynosił jej łakocie, krzepił ją na duchu, koił obietnicami powrotu do zdrowia. Gdy przychodził, doglądająca ją sąsiadka wracała do swych zajęć.

Pewnego wieczora zastał swą pacjentkę bardziej osłabioną niż zwykle i rozmowa ich przyjęła obrót smutny.

— Czuję, że umrę, doktorze. Nie uratuje mnie ani wiedza pana, ani jego troskliwość. Ale odchodzę bez żalu: zobaczę wszystkich moich ukochanych — — — Był pan bardzo dobry dla mnie... Dziękuję panu z całego serca... Towarzystwo jego było mi zawsze bardzo miłe.

Spoglądała przed siebie wielkiemi czarnemi oczyma, w których odnajdywał dawne błyski.

Zaprotestował dla formy, ale wiedział, że mówiła prawdę. Rozwiązanie mogło nastąpić nagle. — Nie cierpiała zanadto z powodu uśmierzających leków, jakie jej przepisał. W ogromnej swej litości dla niej pragnął coś dobrego wynaleźć dla niej, lecz nie wiedział co. Znienacka przyszło mu objawienie.

Podszedł do kominka, wziął do ręki swoją fotografję i przyjrzał się jej z ostentacyjną uwagą.

— Ach! co za dziwna zbieżność faktów, pani Marjo! Jakże się nazywał ten młody człowiek? Narzeczony pani, jak mi pani mówiła?...

— Tak jest. Paweł Bessot.

— Ależ tak — Paweł Bessot. Naprawdę, to on. Poznaję go doskonale. Jeden z najlepszych moich kolegów, zmarły przedwcześnie skutkiem zapalenia płuc...

Konająca zwolna uniosła się, opierając się na łokciu:

— Znał go pan?

— Naturalnie. I — widać — o pani właśnie mówił mi tylokrotnie... Kochał panią bardzo. Snuł marzenia przyszłości: jako lekarz chciał zamieszkać tutaj i ożenić się z panią. Los postanowił inaczej....

P. Bournay bez sił opadła na poduszki, z zamkniętemi oczyma. Uśmiech radosny opromienił całą twarz jej nieoczekiwanym blaskiem szczęścia.

W ostatniej godzinie urzeczywistniło się dla niej marzenie całego życia.

Zmarła nazajutrz z rana, nie odzyskawszy przytomności.

Kilka dni później grób p. Bournay całkowicie pokryty białemi i czerwonemi różami, zdumiewał bardzo zwiedzających. Skąd się wzięły te kwiaty, skoro nie pozostawiła po sobie nikogo — nikogo?

Louis. Lamapet.





Oj dana!

Kcę, matulu, mieć dzieuchę
z cornym ockiem, z cornym włosem,
coby wszyćkie ptoski Boze
prześpiewała swoim głosem.

Kcę, matulu, mieć dzieuchę,
coby była gospodarna,
żeby doma beł dostatek,
a stodoły pełne ziarna.

Kcę, by w moją przysłą zonkę
Pon Bóg tela pikna włoł,
bych ją w setnym roku zycia
kcioł, kcioł, kcioł!

By mi takie córy dała
jak ta zorza jasno-złota,
a chłopoków ino sielnych,
jak hań dąb u płota...

Kcę, matulu, mieć dzieuchę
bo się cosik we mnie tli;
ni robić, ni jeść ni mogę
jakoś mi się ciągiem cni...

Kazimierz Barnaś.

JAZDA DO ŚLUBU.



Opis na 6 stronie.

Jazda do ślubu.

Jedną z najważniejszych chwil w życiu człowieka, to jest jego wesele. Nazywa się weselem, choć czasem powinno się nazywać pogrzebem jego szczęścia; tak się jednak nazywa i my tego nie zmienimy. A że się nazywa weselem, więc też odbywa się wesoło. Oto na obrazku, zamieszczonym na poprzedniej stronie, widzimy taki orszak weselny, udający się po ślub do kościoła. Twarze wszystkich rozradowane, wprawdzie nie myślą o tem, że tam w kościele dwa kochające się serca połączą się na wieki. Uczestnicy wesela cieszą się, że po ceremonjach kościelnych będą się mogli dobrze zabawić, podjeść i podpić... bezpłatnie. Wesołości dodaje im może niejeden kieliszek wychylony przed wyjazdem do kościoła, a nawet i nierozumne zwierzęta odczuwają ogólny nastrój, prychając nozdrzami i kręcąc zawadjacko głowami. Jak wesele, to niechże będzie wesele, póki może nie nastąpi smutek całego życia.

MACIEK BZDURA GADA:

No nareście i ja jestem już bezrobotny. A jestem podwójnie bezrobotny, bo po pirse jestem jesce bezrobotny, jako że nie mam żadnej na swoją wyłącność kobieciny, a po drugie jestem już bezrobotny, jako ze się skończyło kopanie zimniacków na zagonach i sianie zyta na roli. Pozostały ino w chałpie drobne roboty, ale takie, co ino prawie la baby, to se tam z niemi gosposia z Kaśką dadzą radę.

Z powodu mego bezrobocia posedem do wójta, coby mi wyrobili jaki zasiłek rządowy. Przecie mi się dokumentnie patrzy, jako bezrobotnemu. Dostają za bezdurno piniądze od rządu: Magda Pytlowna i Jasiek Powsinoga, lacegózbym i ja nie miał dostawać, kiedy jestem podwójnie bezrobotny.

Ale wójt powiadają mi:

— Z dostawaniem piniędzy, Maciusiu, to nie tak łatwo, jak ci się widzi; trzeba najpierw mieć taką zalejestrowaną robotę, a potem ją stracić i nic inksego nie mieć, to się będzie mogło brać złocisze za bezdurno.

— A Magda? Przecie gospodarzka córka i ojcom jej nicego nie brak.

— No widzis, Magda co inksego! Nie chciało się jej na roli robić, posła do miasta na słuzbę, wylatała się za chłopakami, a gdy się jej to uprzykrzyło, zalejestrowała się jako bezrobotna i musieli jej dać zaopatrzenie. A ze tatusiowie jej mają gront, to nikogo nic nie powinno obchodzić, bo Magda jest pełnoletnia i nikt jej za bezdurno zarcia dać nie musi. A zreśtą cy to staremu Pytlowi nie dobrze, jak mu tam casem Magda da jakiego złocisza na tutoń, albo na wódkę. Pytel mają chlebusia dość, to się Magda przy nich wyżywi, a bezrobotne piniądze se schowa i będzie miała na wiano. Wypocęta po ślubie, a może jesce przed ślubem odwdzięcy się rządowi, przychowując mu paru małych wojacków.

— No niechby! Magda ma sposoby na odwdzięcenie się, ale taki Jasiek przecie i on bierze bezrobocie.

— Jasiek takze nie głupi chłopak, to się mu słuśnie patrzy. Nie chciało mu się w chałpie z ojcami na groncie pracować, to posed do miasta do mularki. Nosił cegłę, nosił wapno, ale to mu nie sprawiało przyjemności. Mimo to więcej zarobił, jak się narobił. Uprzykrzyła się taka robota panu majstrowi i napędził Jaśka z roboty. Bidne chłopaczysko nie strapił się tem, bo wiedział, że dadzą mu za bezrobocie. Zameldował się i bierze piniądze.

— No to przecie wyrzucanie pienięðzy za drzwi.

— E gdzieze znowu! Jasiek nie taki, zeby dostane piniądze dawał do kasy. On uznaje otrzymywane dobrodziejstwo i chce się za otrzymaną łaskę odwdzięcyć rządowi. Jak ino otrzyma piniążki, to nie niesie ich nawet do chałupy, ale wstępuje z niemi zaraz do karcmy i zwraca je z powrotem temu samemu rządowi.

— Jakze to, bo nic nie rozumiem.

— Mas wiedzieć, ze ta wódka, za którą się w karcmie płaci, dajmy na to, trzydzieści grosy, nie warta w rzecywistości ani trzech grosy. Z tych trzydziestu grosy zapłaconych przez Jaśka, jakie 10 grosy bierze sobie Mosiek za dolanie do wódki wody i zą nalanie jej do kieliska, a reśta idzie z powrotem do kasy rządowej, jako podatek od wódki. Tak tedy taki Jasiek, choć to niby bierze za bezdurno piniądze, jest mimo to wielgiem dobroczyńcą rządu, bo moze płaci najwięksy podatek z całej wsi.

— No, wicie, panie wójcie, teraz juz rozumiem, lacego to prawie wszyscy ci bezrobotni, których widziałem wkiejsik fasujących piniądze w mieście, — wprost po wypłacie idą do karcmy i tam się wesoło zabawiają. Teraz wiem, ze oni tam zaraz od ręki płacą rządowi dobrowolny podatek. Zdaje mi się, że najlepiej byłoby, gdyby się wszyscy ludzie w kraju zapisali na bezrobotnych, toby było tyle podatku w kraju, że rząd nie wiedziałby, co z pieniądzmi robić.

— Ej to nie — powiadają wójt — bo wtedy nie inoby wódki zabrako, boby jej nietylko nie miał kto robić, ale nie byłoby jej z cego robić i przysłaby taka pieruńska bida, jakiej jesce nie było na świecie!

— To niby tak, jak jest, jest dobrze?

— Dobrze i nie dobrze! Jest dobrze, że o potrzebujących pomocy rząd myśli i udziela im wsparcia, ale jest źle, że daje nase piniądze, nie ino tem, którzy na to prawdziwie zasługują, ale daje je i takiem Magdom i Jaśkom, którzyby się bez tego obeśli. — Najlepiejby było, aby rząd nikomu nic zadarmo nie dawał. Niechby ci, którzy te piniądze biorą, odrobili je cy to przy naprawie dróg, cy przy inksej robocie. Kto mniej pienięðzy dostaje, niechby robił mniej, kto więcej, to więcej, a tym sposobem zapobiegłoby się biedzie i kraj z wydanych pinięðzy miałby pożytek.

— Ale wtedy Magda i Jasiek nie byliby bezrobotni?

— Pewnie, zeby nie byli, a nie tylko oni, ale i inksi tak, zeby licba bezrobotnych zmalała do połowy.

— Skoda, panie wójcie, ze was cysarzem nie zrobili, a byłoby wszyćko dobrze.

Podróż po dalekich krajach.

Stany Zjednoczone II.

Ciekawie i zastanawiająco wygląda nasz pierwszy obrazek w dzisiejszym numerze »Roli«. Widzimy na nim dwie postacie niewieście, umieszczone tak, że obydwie razem posiadają kształt Ameryki. W geograficzny zarys nowego świata wrysowała ręka artysty dwie postacie niewieście, podające sobie ręce poprzez przesmyk Panamski. Allegoryczną przedstawicielkę południa, sięgającą stopą Patagonji, opartą łokciem o brazylijskie, a kolanem o argentyńskie wybrzeże, zdaje się budzić ze snu czy odrętwienia skrzydlata istota, wyciągająca przez Meksyk ramię na południe. Wśród fałdów szaty, rozpościerającej się nad Kanadą i Alaską kryją się jej kształty, ale głowa w czepku podobnym do frygijskiej czapki, z pod którego spływają sploty płowych włosów aż do Kalifornji, mieści się tam właśnie, gdzie panuje największy ruch, gdzie rozwinął się największy przemysł. Głowa ta nie może wprawdzie objąć całego wielkiego obszaru, ale została umieszczona niemal w samym jej środku, a mianowicie tam, gdzie na mapie leży miasto Buffalo (czytaj Boflo).



Uosobienie Ameryki.

Anglo-saksońska „anielica“ powiewna i uskrzydlona, spoziera na senną siostrę łacińską wzrokiem, który — mimowoli może — zdradza intencje twórcy rysunku. Spojrzenie to nie jest bynajmniej anielskie, przeciwnie przebija w niem podobna siła, z jaką patrzy wąż na ptaszka, czy królika póty, póki tenże nie podsunie mu się aż do paszczy.

Oto doskonała allegorja dwóch Ameryk: północnej i południowej. Północna, stojąca znacznie wyżej pod każdym względem, czeka niecierpliwie na chwilę, w którejby mogła zapanować nad całym obszarem ziem amerykańskich i wchłonąć w siebie całą część połpdniową olbrzymiego lądu.

Jak tam w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki wre życie i praca, może o tem świadczyć szalony rozwój miast tamtejszych. Do niedawna statystyka ilości mieszkańców w poszczególnych miastach notowała, że największem miastem na świecie jest Londyn, który np. w r. 1905 liczył już 7 miljonów mieszkańców. W tym samym roku największe miasto amerykańskie Nowy Jork posiadał o połowę mniej ludności od Londynu, bo „tylko“ 3 i pół miljona. Od tego czasu Londyn, powiększając się również stale, nie doszedł jeszcze do ośmiu miljonów mieszkańców, podczas gdy Nowy Jork przekroczył ich liczbę już poza 10 miljonów. Czyli że w przeciągu 26 lat przybyło w Nowym Jorku 6 i pół miljona mieszkańców. Oczywiście przybytek ten nie powstał jedynie przez narodziny nowych obywateli, ale przez osiedlanie się tam coraz to nowych przybyszów. — Pomyśleć sobie, ile tam musiano wybudować nowych gmachów, aby tę olbrzymią ilość nowych mieszkańców pomieścić.



Plac Lafayette w Buffalo.

Jeżeli porównamy liczbę mieszkańców Nowego Jorku z liczbą obywateli niektórych państw, to przekonamy się, że sam Nowy Jork mógłby utworzyć większe cztery razy państwo, jak Litwa, albo Łotwa, pół takiego państwa jak Czechy albo Rumunja, jedną trzecią nawet tak dużego państwa, jak Polska. A teraz jeszcze jedno! Pomyśleć sobie, ile dla takiej masy ludności potrzeba codziennie żywności. Przecież w samem mieście nie uprawiają żadnych zbóż,

ani nie hodują zwierząt rzeźnych; trzeba to wszystko przywieźć z poza miasta. Zwożą też żywność te pociągi i okręty niemal z całego świata, a 10 miljonów ust wchłania ją w siebie i znów czeka na nową. Gdyby tak w jednym dniu dostawa żywności do miasta ustała, musiałby tam nastąpić głód, mór i klęska, jakiej sobie człowiek nawet wyobrazić nie może.

Jak to już zaznaczyliśmy w poprzednim numerze „Roli", Nowy Jork rozbudowuje się nietylko wszerz i wzdłuż, ale i ku górze. Podaliśmy nawet widok jednej z ulic z drapaczami chmur. Czynią to dlatego, aby mieszkańcy tego olbrzymiego miasta nie musieli odbywać dalekich wędrówek, chcąc się dostać do warsztatów swej pracy.

Ale nie trzeba myśleć, że miasta amerykańskie wszystkie są przepełnione takimi drapaczami chmur. Oto dzisiaj podajemy widoczek z innego miasta amerykańskiego, a mianowicie z Buffalo. Jest to „miasteczko" też nie małe, gdyż liczy obecnie przeszło pół miljona mieszkańców, ale oczywiście naprzeciw Nowego Jorku jest to tylko mieścina.

Na obrazku dzisiejszym widzimy plac Lafayette w Buffalo, noszący nazwę na pamiątkę francuskiego generała Józefa Lafayette, który razem z Kościuszką walczył o wolność Ameryki i był jego przyjacielem. Umarł w roku 1834.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MICHAŁ JUNJOR SMAGOWICZ.

Janek „Odmieniec".

(Nowela).

III.

Nazajutrz była niedziela. Kto żył we wsi biegł pod karczmę. Gwarno tam było i ludzi niemało. — Sprowadzona z sąsiedniej wsi muzyka rżnęła siarczyście. Zawodziły skrzypki, łkał flet, wtórował kornet, pomrukiwały gniewliwie basy. W izbie ciasno było i duszno, ale wesoło. Przez otwarte okno widać było wirujące pary, wywijające dziarskiego oberka. Parobcy w odświętnych kapotach wycinali hołubce, aże drzazgi z podłogi leciały.

Janek zwolna zbliżał się ku karczmie. Coś go ciągnęło do tego życia, tak nowego i różnego od tego, które dotąd przeżył. Ciągnęło go jeszcze i coś innego. Oto zauważył Janek tam Zochnę, córkę organisty. Dziwne uczucie, nieznane jeszcze dla niego, opanowywało zawsze Janka, ilekroć patrzył na Zochnę. — Zdawała się mu łudząco podobną do tej królewny, która go w snach odwiedzała.

I teraz Janek, stanąwszy przy oknie, nie mógł oderwać oczu od Zochny. Taka była piękna. Parobcy odbijali ją sobie jeden drugiemu. Żal dziwny ścisnął sercem Janka. Czemu to on nie może tam wespół z innymi tańczyć i hulać? Pewno! Gdzie jemu „odmieńcowi" do takiego życia. Paść krowy, to jego zajęcie.

Ze zwieszoną głową powlókł się Janek do chałupy. Po południu wyżenął krowy na pastwisko. — Raz jeszcze spojrzał Janek w bezmiernym zachwycie na słonko, i szepcąc: „słoneczko, słoneczko", pogrążył się w fali.

Różne myśli przelatywały mu przez głowę. Wciąż widział przed sobą śliczną twarz Zochny i słyszał dzikie „uha" tańczących parobków. Zostawił Burtę przy krowach, a sam poszedł w las. Na leśnym babjorze zauważył gromadkę dzikich kaczek ze starym kaczorem, nurkujących w wodzie. Obserwacja ich pochłonęła go całkiem. Szczęśliwe te kaczki, myślał sobie Janek. U nich z pewnością nie ma pastuchów i odmieńców. A jak ci nurkują te młode, pluskając w wodzie, porosłej trzciną. Janek zajęty obserwacją kaczek, teraz dopiero zauważył niknącą w głębi lasu Zochnę z Florkiem. Zerwał się z trawy i długo patrzał w stronę, gdzie zniknęli. Echo tylko przyniosło mu wesoły śmiech młodych. Coś jakby łkanie targnęło piersią Janka i smutne oczy zaszły łzami. — Gdzie jemu „odmieńcowi" do Zochny, pierwszej dziewki w całej wsi. Ktoby tam na niego popatrzył, a jeśli, to i jak? Lepiej już mu tu w lesie, tu jest jakby u siebie. Tu mu dobrze. Tak... tak... wrzasło coś w pobliżu. Drgnął Janek, myśląc, że go ktoś podszedł i myśli odgadł, ale to tylko wielki kaczor, trzepocząc skrzydłami wzbił się nad wodę, a wnet po nim całe stado uniosło się z głośnym wrzaskiem w powietrze.

IV.

Od rana już dzień był niezmiernie parny. W zagrodzie Maciejów, później niż zwykle, zaczęła się codzienna robota, bo wszystkim się jakoś zaspało. Później więc wyżenął Janek krowy na ugór. Stary Maciej, siedzący na przybie, mruknął za nim:

— A pilnuj nicponiu krów i przyżeń zaraz w południe, bo się wielgi gorąc widzi.

Już się i południe zbliżało, a Janka ani widać nie było. Stary wyszedł przed chatę i patrzał ku pastwisku, ale nic widzieć nie mógł, bo rozgrzane z gorąca powietrze pełne było pyłu i kurzu, wzniecanego przez silny wiatr wschodni. Mruczał stary pod nosem na Janka i czekał czas jakiś jeszcze, ale wkońcu zawołał już na syna, by szedł obaczyć, co „odmieniec" z krowami zrobił, gdy od sąsiada nadbiegł pastuch i głośno wołać począł:

— Hej gospodarz, gospodarz, pójdźcie no, ino prędzej, bo wam krowy w owies dworski wlazły.

Zerwał się Maciej i krzyknąwszy na syna, by za nim leciał, ruszył w stronę pól dworskich. Rzeczywiście po chwili zobaczył całe stado, żerujące w najlepsze i tratujące po dworskim owsie. Zaklął stary i coprędzej w owies skoczył, by bydło spędzić. Zgrzał się Maciej, napocił, że ni jednej suchej nitki nie miał na sobie, bo co jedną krowę spędził, to mu znów inne w szkodę właziły. Naklął się przytem co niemiara, aż wreszcie z pomocą syna i parobków, którzy tymczasem nadbiegli, udało mu się stado spędzić i do zagrody popędzić.

— Całe szczęście, mruczał chłop do siebie, że ekonom nie widział, bo by z pewnością krowy zajął. A już temu „odmieńcowi" psiajusze, to tak dudy skroję, że ruski miesiąc popamięta. Bo ci to „odmieniec" prawdziwy. Zamiast krów pilnować, to on ci tam pewno z Burtą po lasach bobruje i djabeł wi, co robi. Widocznie się mu we łbie całkiem zmąciło. No dam ja mu, niech się tylko pokaże, a popamięta psiajucha ten spas dzisiejszy.

Tak mrucząc do siebie, przyżenął chłop krowy do obory, gdzie zaniepokojona również nieobecnością „odmieńca" Maciejowa, poczęła go wypytywać, co to było z krowami.

— Musi, rzekła, pospał sie gdzie lub w las zapędził, a o krowach se zaboczył.

Po południu gorąc zrobił się niemożliwy. Pot strugami ściekał ludziom z czoła, którzy, powychodziwszy z chałup na przyzby, szukali cienia, który i tak mało pomagał.



Przez otwarte okno widać było wirujące pory.

— Pewnikiem się jakąś burzą skończy ten gorąc, — rzekł Maciej do parobków. — Już dawno takowego nie pamiętam. A i od wschodu ciągnie fest od rana.

Bo i rzeczywiście kurzawa zrywała się coraz to okrutna. Tumany kurzu i piasku pędziły środkiem wsi, zwiastując niechybnie burzę. Jaskółki nawet, śmigające tu i tam, zniżyły swój lot aż do samej ziemi. Jakby na potwierdzenie tych wróżb, odezwał się zdala, jakby z pod ziemi wychodzący, głuchy grzmot.

— Jesce ci chłopaka burza kajś w lesie zaskocy — zatroskała się o Janka Maciejowa.

— A mogła bestja krów pilnować, a nie po lasach bobrować — odburknął Maciej, który, paląc fajkę, spoglądał na spędzane z pastwisk przed burzą bydło sąsiadów.

Maciejowa podszedłszy do opłotków, zawołała do pastuchów:

— A nie widzieliście kaj „odmieńca" chłopaki?

— Nikaj — odpowiedział Bartek, najstarszy z pastuchów.

— Pewnikiem sie kajś znów zawieruszył.

A Janek tymczasem leżał sobie na rozgrzanym kobiercu traw i mchów leśnych, śniąc cudownie o swej królewnie, z którą razem wędrował po dalekich krajach. Dokoła niego płoniła się rumiana kalina, tuląc w swe objęcia czarne jeżyny. Drżały srebrne listki osiki koło bielącej się brzozy, ówdzie dąb stary szumiał górą. A naokoło rosły bujne paprocie, pod któremi kryły się grzyby, tu i tam czerniały krzaczki borówek, przetykane poziomkami. W gąszczu słodko śpiewały ptaszki, które wnet ukołysały Janka do twardego snu.

(Dokończenie nastąpi).

Jak Kuba Poniezusa plackiem częstował.

Kuba od rana nie ruszył się z ławy. Siedział i o czemś ciężko myślał. Nie patrząc na nikogo, głowę zwiesił prawie do samej ziemi. Zresztą nie było na co patrzeć: izba była pusta. Ani w niej ludzi, ani dobytku żadnego. Zły los — jak się Kubie zdawało — uwziął się na niego, że tylko kamienie gryźć lub głową walić o mur.

Na barłogu za zimnym piecem leżała jego baba, której się zdawało, że jest chora. Kuba nic na to nie mówił. Wolał, że baba stęka, niż gdyby mu suszyła głowę narzekaniem na biedę.

Zdawał sobie jednak sprawę, że wreszcie musi się na coś zdecydować; nie można głodem umorzyć baby i siebie. A w chałupie niema już ani okruszyny pożywienia, ani patyka na ogrzanie pieca. Zwiesił głowę jeszcze niżej.

Pod wieczór jakoś się w izbie rozjaśniło. Kuba spojrzał na świat. Zachodzące słońce, przebiwszy się przez gęstwinę zimowych chmur, rzuciło pęk promieni. Na ziemi poweselało. Ten i ów zapomniał na chwilę o zimie. Kuba zapomniał nawet o swej biedzie i wyszedł z chaty. Na jego widok, czy z innej przyczyny, ów promyk słoneczny zaczął uciekać. Chłop posmutniał.

— Nie uciekaj!... zostań! — zawołał, pędząc za promieniem słońca.

— A czy miałbyś, człowieku, jakie miejsce, gdzie mógłbym się ukryć przed nocą?

Kuba radby pomóc, ma szczerą chęć ku temu, ale właśnie przypomniał sobie własną chatę — i nijak zrobiło mu się na sercu. Tak pusto w tej chacie, taka nędza wyziera z każdego kąta, że chyba czarna noc nie gorsza od niej. Zafrasował się. A tymczasem słonko uciekło. Gdy przetarł oczy, zapadał zmrok. Wokół puste pole. Opodal bieliła się samotna kapliczka. Tam skierował swe kroki. Chciał jeszcze Poniezusowi pożalić się na swą biedę okrutną. — Wszystko, co go dręczyło, postanowił opowiedzieć. Ale Chrystus jakby wcale nie słuchał. Był zamyślony, smutny, w dal zapatrzony. Kubę to zraziło, więc rzekł:

— Jeśli mi, Poniezusicku, nie wierzysz, to przyjdź i zobacz, jaka u mnie okrutna bieda.

Pan Jezus uśmiechnął się pobłażliwie.

— Dobrze, przyjdę jutro z rana.

Chłop podskoczył z radości i pędem pobiegł do chaty. Babina, chociaż postękiwała, ale wstała, dowiedziawszy się, jakiego gościa jutro będą mieli. Teraz obydwoje zaczęli się zastanawiać, co przygotować na przyjęcie. Myśleli długo, lecz nic nie wymyślili. Wkońcu Kubina, oburzona na siebie, chłopa i na to niezaradne myślenie, zerwała się z miejsca i zaczęła przeglądać wszystkie schowki, garnki, wszystkie kąty na strychu i w komorze. I nie żałowała tego, bo znalazła w dzieżce parę garści owsianej mąki. Na jeden mały placek wystarczy. Po rozrobieniu mąki z wodą, po wyrobieniu ciasta, pokazało się, że wcale taki zbyt mały nie był, jak się zdawało. Gorzej przedstawiała się sprawa z pieczeniem, gdyż nie było czem podpalić w piecu. Kuba obszedł całe osiedle, gdzie znalazł parę mokrych gałęzi. Możeby się udało wzniecić ogień, gdyby podłożyć trochę suchej podpałki. Lecz takiej nie było. Wtedy Kuba z babą zaczęli dmuchać na przemiany, aż im gardła zaschły, lecz i to nie wiele pomogło. Nagle przypomnieli sobie oboje o słomie w barłogu. Za chwilę aż dudniało w piecu.

Gorzej było ze spaniem: kościska uciskało twarde posłanie, w żołądku coś burczało z głodu, a nozdrza drażnił zapach ciepłego placka. Kuba zasnął dopiero nad ranem, kiedy wypadało już wstawać.

Po uprzątnięciu izby, Kuba z babą zaczęli z niecierpliwością oczekiwać odwiedzin Poniezusa. Lecz czas uciekał, południe nadchodziło, a o gościu ani słychu najmniejszego. Tylko dziad jakiś się nawinął ni stąd ni zowąd, prosząc o wsparcie. Głodny i zmęczony był starowina, że ledwie dychał. Kubie żal się zrobiło biedaka, więc zaczął mrugać na babę i szeptać do ucha, by ukrajała kawałek placka i nakarmiła głodnego. Dziad serdecznie podziękował, a odchodząc, życzył, by w domu nigdy chleba nie brakowało.

Kobiecina dopiero teraz zaczęła sobie przedstawiać, że przecież nijak to będzie kłaść przed Poniezusem zaczęty chleb. Kuba ją pocieszał, jak mógł, że Poniezus jest ogromnie dla ludzi wyrozumiały, no i wcale nieobraźny, choć Go czasem nie przyjmują tak, jakby se życzył.

Minęło południe, a gościa żadnego nie było widać. Kuba strapiony poszedł do przydrożnej kapliczki i począł się żalić:

— Oj, Poniezusicku miłosierny! tageśmy Cię czekali i czekali... Pewnieś se do cna o nas zaboczył, żeś nie przyszedł.

Ździwił się Kuba, gdy mu Pan Jezus powiedział, że co dopiero od niego wrócił. Nagrody za gościnność kazał mu szukać pod starą gruszą w ogrodzie.

Chłop nie wiedział zrazu co o tem myśleć. Lecz gdy zobaczył w Poniezusowej ręce ten sam kawałek chleba, który kazał dać żebrakowi, zrozumiał wszystko.

Po powrocie do chaty, zaraz wziął łopatę i poszedł kopać pod gruszą. Żelazo wnet zawadziło o coś twardego. Kuba nachylił się i wyciągnął skrzynię, w której znajdował się skarb niemały. Bieda znikła z jego chaty raz na zawsze.

Gdy się o tem dowiedział bogaty i nieludzki sąsiad, straszna go wzięła pasja i złość. Zaraz na żonę zawołał:

— Słuchaj stara! Napiecz kołaczy, a ja pójdę po tego Pana Jezusa i poproszę Go w gościnę. Jeżeli tym dziadom za owsiany placek taki skarb zostawił, to nam za kołacze powinien dać jeszcze więcej.

Poszedł. I jemu Pan Jezus obiecał, że przyjdzie. Bogacz ucieszony wrócił do domu. Kołacze leżały rzędem na ławie. Nikomu nie wolno było nawet się ich dotknąć, ponieważ nie dla byle kogo były pieczone. Zaczęło się czekanie. Ale przez cały dzień nikt się nie zjawił. Dopiero wieczorem zapukało do wrót jakieś stare dziadzisko, dygocące z zimna i prosząc o nocleg.

Gdy gospodarz dziada zobaczył, kazał parobkowi spuścić najgorszego psa. Pies, nauczony przez swego pana, rzucił się na biedaka, ugryzł go w nogę i jeszcze kawałek płaszcza oderwał. Wtedy gospodarz mruczał ze złością:

— Dobrze tak obszarpańcowi! Niech nie zawadza wtedy, gdy ja się spodziewam niebylejakiego gościa.

Czekali do późna w nocy, lecz nikt więcej się nie pokazał.

Rano poszedł bogacz do kapliczki i zaczął wymawiać, że tyle potracili na kołacze a Pan Jezus mimo obietnicy nie przyszedł. Wtedy Chrystus boleściwy pokazał człowiekowi skrawioną nogę. Ów wszystko zrozumiał i odszedł ze wstydem. Doleciał go jeszcze głos, aby ten kawałek płaszcza dziadowskiego, jaki został w pysku psa, zatrzymał dla siebie w nagrodę za gościnność, bo i to może mu się kiedyś przydać.

Od tego czasu nic się nie chciało mu darzyć. Z roku na rok ubożał, aż wkońcu musiał przewiesić torbę przez plecy i pójść w świat, dopraszając się wszędzie ludzkiego miłosierdzia.

Władysław Dunarowski.



Poradnik gospodarczy.

Nawadnianie łąk na wiosnę i w jesieni.

Racjonalne nawadnianie łąk może w dużym stopniu przyczynić się do podniesienia plonów siana i należałoby w tym celu wykorzystać wszystkie te wody, które koło naszych łąk przepływają. Często można bez wielkich trudności przeprowadzić rowy przez łąkę, które umożliwiłyby odpowiednie rozprowadzenie wody.

Zdawaćby się mogło, że nawadnianie łąk wchodziłoby tylko latem w rachubę, ażeby trawom potrzebną wodę dostarczyć, a przecież jest ono bardzo ważne dla doprowadzenia pewnej części składników odżywczych, dla przewietrzenia i odkwaszenia gleby łąkowej. Dochodzi jeszcze to, że nawodnienie zastosowane w odpowiednim czasie stwarza wstępne warunki dla wzrostu roślin, chroniąc je przed mrozami, posuchą, a starając się przez racjonalne przeprowadzenie nawadniania na wiosnę tak łąki rozgrzać, że trawy prędzej i silniej wypuszczają, uzyskujemy wyższe plony.

Jako jedną z podstawowych zasad trzeba tu przestrzegać, ażeby woda była zawsze cieplejszą niż powietrze. Wtenczas tylko spodziewać się możemy dobrych rezultatów. Następnie trzeba zmieniać kolejno nawadnianie i osuszanie. Niema nic gorszego dla łąk jak nawadnianie bez możności odwadniania. Zastoju wody trzeba bezwarunkowo unikać, ponieważ przez to wypędza się powietrze z gleby i temsamem wstrzymuje się rozkład organicznych składników darni łąkowej. Korzystne dla wzrostu roślin przemiany w glebie zależne są od obecności powietrza, w razie braku tegoż gleba się zakwasza. Racjonalnie przeprowadzone nawodnienie umożliwia daleko sięgające przewietrzenie gleby, którą nasącza się wpierw wodą, po odprowadzeniu tejże może powietrze z tlenem swobodnie napływać i korzystnie oddziaływać na porost traw.

Ażeby nawadnianie było skuteczne, należy je przeprowadzać w jesieni. Głównem jej zadaniem jest doprowadzenie glebie składników odżywczych. O ile prace w gospodarstwie pozwalają na to, trzeba zaraz po sprzątnięciu potrawu rowy i dreny rozdzielcze uporządkować, aby móc już w początkach października rozpocząć nasączanie. W czasie tym ostyga woda wolniej niż gleba, posiada jednakże wyższą temperaturę niż powietrze, przez co może się trawa przed zimą lepiej zakorzenić. Dalej posiada woda jesienna z powodu dużych opadów wiele składników

odżywczych, które pochodzą z świeżo uprawionej roli z wsi oraz z różnych odwodnień i w ten sposób wywiera nawozowy wpływ na łąki.

Czas trwania jesiennego nawadniania zależy przeważnie od zasobności wody w składniki odżywcze. Nawadnianie należy tak długo przeprowadzać, dopóki gleba porządnie nie przesiąknie i zdawać się być ślizką, a między trawą pokaże się cienka warstwa śluzu. Na glebach ciężkich można stan taki osiągnąć nieraz tylko przez parokrotne powtarzanie nawadniania po każdorazowem wysuszeniu. Im dłużej trwa nawadnianie w jesieni, tem skuteczniej jego działanie. Przejściowe przymrozki, które często w listopadzie występują, nawadnianiu nie szkodzą i dopiero przed nastaniem trwałych mrozów trzeba nawadnianie przerwać. Łąki muszą zupełnie bez wody w zimę przejść, ażeby zapobiec utworzeniu się skorupy lodu, pod którąby się rośliny podusiły.

Na wiosnę trzeba nawadnianie przeprowadzić z jaknajwiększą ostrożnością. Ma ono na celu chronienie roślin przed spóźnionemi mrozami, względnie przed silnemi wahaniami temperatury. Nie trzeba jednak sądzić, że dla poprawienia i dla wzmożenia plonów z łąk wystarczy samo nawadnianie. Jak już wyżej wspomniano, trzeba nawadnianie umiejętnie i z zrozumieniem przeprowadzić, a oprócz tego należy taką łąkę specjalną otoczyć opieką. Naturalnie trzeba rowy i dreny rozdzielcze stale w porządku utrzymywać i dbać o regularne wyrównywanie powierzchni. Po wiosennych roztopach należy łąkę przez porządne zbronowanie oczyścić z chróstu, liści i innych z wodą przyniesionych przedmiotów. Pracę tę trzeba wprawdzie na każdej łące przeprowadzać, jednakże w tym wypadku specjalnie należy o tem pamiętać. Także należy dbać o wyrównanie składników pokarmowych, bo przez wilgotność łąki pobudza się rośliny do wzrostu, które wówczas mają większe zapotrzebowanie i więcej tych składników odżywczych zapomocą korzonków z gleby pobierają. Nawadnianie łąki wówczas dopiero staje się doskonałem i wysoko plonującem, jeżeli ją równocześnie odpowiednio użyźnimy. Użyte nawozy dają taką rentę, którą na nienawadnianych łąkach prawie niemożliwie byłoby osiągnąć.

Konieczność nawożenia azotowego stwierdzić trzeba przez specjalne badania na każdej łące, gdyż zależy ona od jakości wody, którą łąki nawadniamy. Natomiast nawożenie potasowe, a przedewszystkiem fosforowe jest zawsze wskazane, ponieważ wpływa ono nietylko na ilość, lecz także na jakość siana. — Twierdzenia, jakoby siano z nawadnianych łąk nie było tak cenione jak z łąk suchych, i że takie siana bydło niechętnie żre, jest o tyle błędne, że nie jest tu przyczyną nawadnianie, lecz brak kwasu fosforowego, a w związku z tem potrzebnego białka w sianie. Wiadomem jest, że tworzenie się białka uzależnione jest od obfitej zawartości kwasu fosforowego. Dlatego też przy nawadnianiu łąk wielki kładzie się nacisk na nawożenie ich tomasyną.

Obawa wypłukania użytych nawozów przez nawadnianie nie zachodzi, jeżeli prace te wykonuje się należycie. Kainitem nawozić należy najlepiej późną jesienią, jednakże przynajmniej na 2—3 tygodni wstrzymać nawadnianie. Przy nawożeniu tomasyną są obawy te jeszcze o wiele mniejsze, ponieważ zostaje ona przez glebę do tego stopnia przyswojoną, że wypłukanie jest niemożliwe. Dlatego też jest tomasyna na wszystkie suche, ale przedewszystkiem na nawadniane łąki najodpowiedniejszem nawozem fosforowym, tembardziej, że przez glebę przyswojony kwas fosforowy, rośliny z łatwością każdej chwili pobrać mogą, tak że mają jakoby stale płynące źródło kwasu fosforowego, z którego swe zopotrzebowanie pokrywają. Tomasynę można w przeciwieństwie do potasu wysiewać każdego czasu, stwierdzono nawet, że tam gdzie przy wysiewie zaskoczyła nas woda, otrzymane rezultaty z nawożenia nie były mniejsze od plonów osiągniętych z miejsc, do których woda nie doszła. Mimo to jednakże dajemy tomasynę nie przed, lecz lepiej po jesiennem nawadnianiu i wtenczas można ją zmieszać i wysiać razem z potasem. Nawożenie azotem uskutecznia się natomiast dopiero na wiosnę. Dawka nawozów musi być o tyle większa, o ile mniej składników odżywczych zawiera doprowadzona woda i o ile mniej wody mamy do dyspozycji. Nie trzeba jednakże sądzić, że zawsze woda mętna i szlamowata jest najodpowiedniejszą, gdyż tylko bardzo drobny (rzadki) szlam zawiera przyswajalne składniki odżywcze.

Z powyższych wywodów wynika, że nawadnianie łąk wymaga wielkiej ostrożności i znajomości rzeczy, jeżeli chcemy mieć dobre rezultaty. Przy nawadnianiu łąk osiągnąć można bardzo wielkie korzyści, ale i wielkie niepowodzenia, jeżeli prace powyższe przeprowadza się nieumiejętnie. *St. Nowaczyk.*



PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI.

Gąbka, zrobiona z resztek jedwabi, poleruje doskonale meble.

Przedmiotów lakowych nie wolno myć gorącą wodą. Należy je wycierać płóciennym płatkiem zwilżonym w wodzie z olejem drzewnym.

Jagody i owoce. Jagody czarne, poziomki, borówki, żórawiny, kalina oraz jagody czerwone z bzu dzikiego nadają się jako karma, posiadając dietetyczne znaczenie. Owoce również można skarmiać kurami. Wszelkie odpadki, sztuki robaczywe itp. mogą być z korzyścią zużytkowane przez kury.

Koronki i małe akcesorja jedwabne jeszcze mokre, a zawinięte na chwilę w gruby turecki ręcznik, dają się bardzo łatwo wyprasować.

* * *

Robactwo w dywanach wytępi się łatwo, prasując je przez wilgotną szmatkę gorącem żelazkiem.

* * *

Mąkę, cukier i inne suche składniki ciasta należy przed użyciem przesiać.

Chcąc przyrządzić mrożoną kawę, gotuje się ją dwa razy mocniejszą niż zwyczajnie i oziembia powoli, napełniając potem szklanki, do których poprzednio wsypano drobne kawałeczki lodu.

* * *

Drób bity, mający kruszeć dni kilka, a nawet tydzień, nie powinien być skubany, bo wietrzeje i smak traci, jak zwierzyna obdarta ze skóry.

* * *

Plamy z borówek na materjałach lnianych i bawełnianych usuwa się zapomocą soku cytrynowego, lub przez zanurzenie w gotującem się mleku. Plamy na materjałach puszczających kolor zanurza się w maślance.

KRONIKA.

Święto Niepodległości. We środę 11 b. m. odbyły się w całej Polsce uroczystości, jako w rocznicę wyzwolenia się ostatecznego Polski z pod przemocy wroga. W dniu bowiem 11 listopada 1918 roku powrócił z niewoli niemieckiej marszałek Piłsudski i za zgodą narodu objął w Polsce najwyższą władzę, jako Naczelnik państwa. Od dnia tego datuje się właściwe oswobodzenie Polski z pod przemocy wroga.

Zgon Artura Oppmana. W ubiegłą środę w nocy zmarł w Warszawie znany poeta Artur Oppman, pisujący przeważnie pod pseudonimem Or-Ot. Ś.p. Oppman już od 10 dni czuł się słabym, ale nie przejmował się swą chorobą, lecz pędził dalej zwykły tryb życia. W środę wieczorem położył się do łóżka i wezwał lekarza. Okazało się, że ratunek był już spóźniony, gdyż ś. p. Oppman cierpiał już od kilku dni na zapalenie płuc, a choroba była tak dalece rozwinięta, że o uratowaniu poety nie było już mowy. Ś. p. Oppman napisał bardzo wielką ilość pięknych wierszyków, które dla swej pięknej formy były chętnie czytane i deklamowane.

Zastrzelony na ulicach Jarosławia. Z Jarosławia donoszą: Po godz. 7 rano posterunkowy ścigał notowanego i od dawna poszukiwanego złodzieja, N. Mudrego, który schroniwszy się w zabudowaniach plebanji rzym. kat., oddał do posterunkowego pięć strzałów rewolwerowych. Na odgłos strzałów przybyli z pomocą trzej posterunkowi, którzy wezwali bandytę do złożenia broni i poddania się. Mudry nie usłuchał wezwania. Rozpoczęła się ponowna strzelanina, w czasie której bandyta został zastrzelony.

Wielkie włamanie we Lwowie. W sobotę dokonano we Lwowie niezwykle śmiałego włamania. Nieznani sprawcy dostali się przez strych do biur koncernu naftowego „Małopolska", gdzie zrabowali 8.000 dolarów i 48 000 zł. Śledztwo w toku.

Skutki jazdy na „gapę". Na dachu jednego z wagonów pociągu, przybyłego z Podhajec do Lwowa, służba zauważyła jakiegoś mężczyznę całego we krwi, dającego bardzo małe znaki życia. Zdjęto go zaraz z dachu i przekonano się, że ma on głęboką ranę na głowie. Zawezwane Pogotowie ratunkowe ciężko rannego w stanie nieprzytomnym przewiozło do szpitala. Policja na podstawie znalezionych przy nim dokumentów stwierdziła, że mężczyzna ten nazywa się Józef Bobków, liczy lat 20 i jest rolnikiem w Weinbergen pod Lwowem. Przypuszczać należy, że Bobków, nie mając pieniędzy na bilet kolejowy, niespostrzeżenie w Winnikach wylazł na dach jednego wagonu, chcąc w ten sposób dojechać do Lwowa. Tymczasem, siedząc na dachu uderzył głową o wiązanie żelaznego mostu przed Podzamczem, a tylko cudem nie spadł na tor.

Wyrok sądu doraźnego w Kołomyji. W Kołomyji odbyła się rozprawa w trybie doraźnym przeciwko policjantowi gminnemu, Józefowi Klimie, oraz drugiemu osobnikowi, oskarżonym o szereg napadów rabunkowych. Trybunał skazał Klimę na karę śmierci przez powieszenie, drugiego zaś oskarżonego na karę śmierci z zamianą na dożywotnie więzienie. Wobec uwzględnienia prośby obrońców Klimy o ułaskawienie, Klimie zamieniono karę śmierci na dożywotnie więzienie.

Podwójne morderstwo i samobójstwo. W niedzielę wieczorem Stanisław Klusach zastrzelił w Borysławiu swą narzeczoną Janinę Hrebniuk, a następnie ciężko ranił jej siostrę Anielę. Po dokonanem zabójstwie morderca udał się do swego domu, gdzie zastrzelił gospodynię, a następnie wystrzałem z rewolweru w usta pozbawił się życia.

Tragedja w chacie wiejskiej. Z Częstochowy donoszą: We wsi Antonów pod Częstochową pomiędzy miejscowym gospodarzem 40-letnim Piotrem Zyskowskim a jego żoną doszło do gwałtownej sprzeczki. Żona poczęła mężowi czynić wyrzuty, że za tanio sprzedał na targu w Częstochowie dwie świnie. Kobieta przypomniała mężowi, że w poniedziałek mają do wykupienia weksel na 500 zł., których nie zdołali zebrać, na dobitkę zaś złego mąż sprzedał świnie tak tanio, że pogłębiło to jej rozpacz. Gospodarz, doprowadzony do ostateczności wymówkami żony, wyszedł z mieszkania i wszyscy przypuszczali, że udał się do wsi, aby zabiegać o pożyczkę, celem wykupienia weksla. Gdy jednak przez dłuższy czas nie wracał, wszczęto poszukiwania i w stodole dokonano strasznego odkrycia, bowiem Zyskowski ze zgryzoty powiesił się na grubym postronku. Wszelka pomoc okazała się bezskuteczną. Zastano już zupełnie zimne zwłoki samobójcy, który pozostawił żonę i kilkoro nieletnich dzieci.

Potworny ojcobójca. Do policji w Królewskiej Hucie zgłosił się 20 letni Jan Płaza, zamieszkały w Królewskiej Hucie i doniósł, że zabił ojca swego Jana Płazę. Jednocześnie złożył dłuto żelazne, którem dokonał zbrodni. Policja wdrożyła dochodzenia. Pod wskazanym adresem znaleziono ciężko zranionego w okolicę serca Jana Płazę. Rannego przewieziono do szpitala, gdzie wkrótce zmarł.

Tragiczna śmierć oficera. W szpitalu ujazdowskim w Warszawie przybył w odwiedziny do chorej żony kapt. Jerzy Mroczkowski z DOK I. Chcąc dowiedzieć się, czy może przejść na oddział, zatelefonował z poczekalni do dyżurnego lekarza. W pewnej chwili wysunęła mu się z pod pachy teczka i kapitan, trzymając w ręku słuchawkę, schylił się, by ją podnieść. W teczce znajdował się nabity rewolwer. Nagle padł strzał i kula przeszyła oficerowi pachwinę. Nieprzytomnemu kapitanowi pospieszyli z pomocą lekarze, lecz było już za późno. W drodze na salę operacyjną kapt. Mroczkowski zmarł.

Tragiczna wycieczka łodzią. We wsi Tarnów koło Garwolina Stanisław Bronowicz, Jan Kalfarczyk, Szymon Sieradzki i Stefan Karaś wybrali się na przejażdżkę po Wiśle łodzią. Na środku rzeki łódź wywróciła się i wszyscy znaleźli śmierć w nurtach rzeki.

Wybuch zbiornika z tlenem. W fabryce samolotów Plage i Laśkiewicz w Lublinie podczas próby wytrzymałości zbiornika z tlenem nastąpił wybuch. Robotnicy: Fr. Rozik i Tadeusz Jackowski zostali zabici odłamkami żelaza. Ponadto ciężko ranni zostali dwaj inni robotnicy, których przewieziono do szpitala w stanie beznadziejnym.

Drogi lubczyk cyganki. Z Wilna donoszą: Ostatnio do policji wpłynęło szereg skarg przedstawicielek płci pięknej na nieznaną cygankę, która potrafiła wyłudzić od nich pieniądze, sprzedając „niezawodny środek na miłość" zwany pospolicie „lubczykiem". Z tych skarg wynikało, że na rynkach wileńskich pojawiła się jakaś cyganka sprzedająca „lubczyki", które według słów cyganki, posiadają moc czarodziejską. Wystarczy nabyć taki „lubczyk", by marzenia panny o poślubieniu ukochanego natychmiast ziściły się. Nie zabrakło naiwnych, które uległy pięknym namowom cyganki i nabywały lubczyki. Cóż z tego, kiedy przypisywana im moc czarodziejska żadnej z panienek nie dopomogła do rychłego zamążpójścia. Przeciwnie zaszedł wypadek, że narzeczony porzucił jedną z panienek akurat po nabyciu przez nią czarodziejskiego lubczyka. Sprytna cyganka policzyła za lubczyki wygórowane ceny 20, 15 i 10 zł. Najtańszy lubczyk sprzedawała za 4 złote. Policja wdroży-

ła w tej sprawie dochodzenia i sprytną cygankę aresztowała. Podczas badania przyznała się ona całkowicie do winy, tłumacząc się tem, że skoro nie zabrakło naiwnych, które płaciły jej i po 20 złotych za lubczyk nie mogła przeciwstawić się pokusie tak lekkiego zarobku

Napoje miłosne. O podobnej aferze, jak na Wileńszczyźnie, o czem piszemy powyżej, donoszą również z Wiednia. Policja wiedeńska wykryła niazwykły instytut, prowadzony przez 23-letnią piękną i młodą kobietę p. Wollert, rodem z Puszty węgiersaiej. Czarnooka Węgierka sporządzała masowo napoje miłosne i sprzedawała je różnym kobietom, każąc sobie płacić za nie spore sumy, sięgające niejednokrotnie 3 tysięcy szylingów. Miłosne napoje sporządzały dwie starsze widźmy cygańskie, które rzekomo odziedziczyły tajne recepty po swoich prababkach. Klientela pani Wollert składała się z kobiet różnego stanu i wieku. Szukały bowiem u niej pomocy zarówno biedne służące, jak i bogate utytułowane damy. I wszystkie kobiety twierdzą zgodnie, że lubczyki były bardzo skuteczne, a mężczyźni nie mogli się oprzeć ich działaniu... Że też to jeszcze są ludzie na świecie, którzy wierzą, jakoby jakiś napój mógł wzbudzić miłość jednej osoby ku drugiej.

Bolesne błogosławieństwo ślubne. W jednym z kościołów wiedeńskich, pewien starszy już robotnik brał ślub z córką zamożnego przemysłowca. Dziewczyna nie była ładna, ani miła w obejściu, ani też młoda, ale ojciec dawał za nią ładny grosz, więc pan młody uważał się za szczęśliwego, że mu się taki tłusty ożenek trafił. Podczas starania się o pannę zapomniał szczęśliwy narzeczony, że przed ośmiu laty uwiódł pewną ubogą robotnicę, z którą obiecywał się ożenić. Nieszczęśliwa przez upadek na śliskiej ulicy złamała potem nogę, stała się kaleką, zarabiała bardzo mało i żyła w nędzy.



Gdy się dowiedziała, że dawny narzeczony żeni się z bogatą panną, odżyła w niej krzywda, jakiej doznała i zapragnęła się zemścić. „Ja go pobłogosławię!" — powiedziała sobie w duchu i wybrała się z kilku towarzyszkami na ślub. Gdy para narzeczonych weszła do kościoła, niespodziewanie wygrzmociła kijem dawnego kochanka. W kościele zrobiło się zamieszanie, gwałtowną kobietę wyprowadzono na ulicę i oddano policji. Obrazek nasz przedstawia tę scenę w kościele.

Skok z szóstego piętra. W jednym z domów przy ulicy Mariahilferstrasse w Wiedniu zdarzył się wstrząsający wypadek. W domu tym mieści się na trzeciem piętrze fabryka konfekcji „Klea". Gdy onegdaj po zamknięciu biur portjer domu obchodził lokal fabryki, zastał w nim nieznanego sobie młodego człowieka, którego zapytał, czego sobie życzy. W odpowiedzi na to nieznajomy rzucił się do ucieczki. Portjer natychmiast zamknął bramę domu i zawezwawszy policjanta, wraz z nim powtórnie obszedł cały dom. Na trzeciem piętrze nieznajomego nie było. Zato, gdy portjer wraz z policjantem znaleźli się na szóstem piętrze, ujrzeli ku swemu wialkiemu przerażeniu, że poszukiwany przez nich człowiek stoi na parapecie okna, gotowy do skoku. Portjer pospieszył ku niemu, aby go zatrzymać, ale w tej chwili nieznajomy skoczył w przepaść i poniósł śmierć na miejscu. Okazało się, że samobójcą jest były pracownik handlowy Fryderyk Klemmerth, który już poprzednio za kradzieże z włamaniem był sądownie karany. Do biura fabryki „Klea" dostał się podrobionym kluczem, włamał się do jednego z biurek i zabrał stamtąd około 100 szylingów, które przy nim znaleziono. Usiłował też otworzyć żelazną kasetkę z pieniądzmi, ale w tej chwili został spłoszony przez portjera.

Proces o zwłoki męża. Zgoła niezwykły proces cywilny odbył sie przed sądem wiedeńskim. Niejaka pani Hermina Bock wytoczyła skargę przeciwko rodzinie swego zmarłego męża, że wbrew jej woli pochowała go w swym grobie familijnym i zażądała pozwolenia na ekshumację zwłok męża, ażeby pochować go powtórnie we własnym grobie. Przyczyną tej skargi była wieloletnia niezgoda pomiędzy synową a świekrą, wskutek czego przy grobie zmarłego dochodziło między obydwiema kobietami do ustawicznych kłótni. Świekra poprostu uniemożliwiała wdowie spełnianie obowiązków pośmiertnych, wyrzucała kwiaty, któremi zdobiła grób, nie dopuszczała do grobowca i t. d. Strona oskarżona twierdzi ze swej strony, ze wdowa zgodziła się z braku funduszów na pochowanie męża w familijnym grobie i uważa, że z chwilą tą straciła wszelkie prawa do zwłok małżonka. Narazie proces jest niaskończony i niewiadomo, której stronie przypadną zwłoki biednego męża, któremu nawet i po śmierci walczące strony spokoju nie dają.

Czyżby przygotowania do zamachów stanu? Gazety zagraniczne donoszą, jakoby ks. Starhemberg przygotowywał na najbliższe dni zamach stanu w Austrji. Ks. Starhemberg pragnie zostać w Austrji naczelnikiem państwa. Również na Węgrzech ma powstać dyktatura z ministrem Gömbösem na czele. W Niemczech mają równocześnie urządzić podobny zamach stanu hitlerowcy. Byłoby to przygotowaniem powrotu na tron niemiecki Hohenzollernów. Oczywiście są to pogłoski, które zapewne się nie sprawdzą, gdyż kto przygotowuje zamach, czyni to w tajemnicy, a jeżeli tajemnicy nie zachowa, to i zamach nie może się udać.

Dla pięknych oczu pokojówki. Zuchwałego napadu dokonali przed kilku dniami dwaj bandyci w Budapeszcie. Wpadli oni około południa z rewolwerami w ręce do filji pewnego wielkiego banku i steroryzowawszy personal, zrabowali banknoty na kwotę 200 tysięcy koron węgierskich. Napad trwał kilka sekund. Bandyci uciekli, a personel, ochłonąwszy z przerażenia, zaalarmował policję. Pewien urzędnik, usłyszawszy alarm, wybiegł z biura i zobaczył jednego z bandytów, wsiadającego na rower. Urzędnik pochwycił bandytę, który chciał użyć broni, ale został rozbrojony przez przechodniów i policję. Jest nim młody chłopak nazwiskiem Bonya. Znaleziono przy nim prócz całej zrabowanej sumy, cały arsenał: trzy browningi i mnóstwo naboji. Bonya, który jest pomocnikiem piekarskim, wyznał, że napadu rabunkowego dokonał wraz z swoim kolegą dla pięknych oczu pewnej pokojówki, która obiecała mu swoje względy, jeśli będzie mogła prowadzić wystawne życie. Obu młodych bandytów i pokojówkę aresztowano i osadzono w więzieniu.

Młoda dziewczyna bandytką. W Augsburgu, w Niemczech, młoda dziewczyna dokonała niezwykle śmiałego napadu rabunkowego. Weszła mianowicie do lokalu administracji pewnego pisma radjowego pod pre-

tekstem nabycia jednego ze starszych numerów. Dla wyszukania tego numeru weszła razem z urzędniczką do tylnego pokoju. Tu dobyła pałki gumowej i dwoma uderzeniami w głowę ubezwładniła urzędniczkę, poczem zbiegłą, zabrawszy z kasy podręcznej ponad 1.000 marek. Zarządzony pościg policyjny doprowadził do pochwycenia zuchwałej bandytki. Jak się okazało, pozostawała ona pod wpływem swojego kochanka, który namówił ją do rabunku.

Niewinnie skazany. We Wrocławiu aresztowano w tych dniach niejakiego Siwka, który zamordował swoją żonę i służącą Kristenównę. Znajdował się on w więzieniu śledczem i przyznał się do zarzucanych mu zbrodni. W sobotę zażądał on widzenia się z nadprokuratorem i prezydentem policji, którym zeznał, że zamordował swego czasu dziewczynę lekkich obyczajów nazwiskiem Schulze. O zamordowanie jej posądzony został czeladnik piekarski Pohl, który mimo zapewnień o swojej niewinności, skazany został na dożywotnie ciężkie więzienie. Wobec przyznania się do morderstwa Siwka, Pohl został natychmiast zwolniony z więzienia. Sprawa o morderstwo Schulzówny zostanie wznowiona.

Ucieczka przed filmem kinowym. Z Bukaresztu donoszą o niezwykłym wypadku, który miał miejsce we wsi Eyrgyebest, w zapadłym kącie Rumunji północno-zachodniej. Do wsi tej przybył wędrowny kinematograf. Przedsiębiorca rozgłosił wśród ludności miejscowej, że „każdy, kto zapłaci przy wejściu 3 leje, zobaczy wielkie dziwy, o których nie śniło się jego przedkom". Po tem obiecującem „orędziu", do szopy, w której urządzono kinematograf, zjawili się tłumnie prawie wszyscy mieszkańcy wsi. Rzeczywiście zdumienie i zaciekawienie widzów było nadzwyczajne. Świadczyły o tem naiwne okrzyki, zachwytu i strachu naprzemian. Obraz ilustrował dramat amerykański na tle okolic „Gór Skalistych". Między innemi kręcono scenę pościgu samochodowego za pędzącym pociągiem (ekspresem) kanadyjskim. O ile do chwili puszczenia tej części obrazu obie strony: publiczność i przedsiębiorca, były z siebie całkowicie zadowolone, to z chwilą, gdy na dalekim horyzoncie, po torze biegnącym wprost na widownię, ukazał się pędzący ekspres, a na szosie równoległej z torem niemniej szalone auto, z którego strzelano do pociągu — stała się nagle rzecz nieoczekiwana. Publiczność zerwała się z miejsc i z dzikiemi okrzykami przerażenia rzuciła się ku wyjściu. Nadomiar złego, scena strzelania urozmaicona była strzałami z prawdziwego rewolweru przez stojącego za ramą płócienną jednego z operatorów. To przepełniło miarę. Tłum wywalił wrota, powodując nieopisaną panikę: ryk mężczyzn pomieszany z przeraźliwym piskiem kobiet i dzieci stworzył istne piekło. Wszystko tratowało się wzajemnie w ucieczce przed wyimaginowaną śmiercią. Przedsiębiorcy, widząc co się dzieje, porzucili „śmiercionośne" płótno i unosząc ze sobą ocalały aparat kinematograficzny i zebraną gotówkę, uciekali przez las do najbliższej stacji kolejowej. W rezultacie w Eyrgyebest pozostało kilkadziesiąt połamanych rąk, nóg i żeber. Przyczyną tego niezwykłego wypadku było to, że ludność tej szczęśliwej wsi nie widziała nigdy przedtem kinematografu i nie znała przeto jego dziwnych „djabelskich" efektów.

Najazd bezdomnych dzieci. Gazety ryskie donoszą że w Moskwie pojawiły się ostatnio wielkie bandy głodnych i wynędzniałych dzieci, z których olbrzymia większość nie posiada dachu nad głową. Lato i jesień dzieci te spędzają na polach i w lasach, a w zimie uciekają przed mrozami do miasta, gdzie szukają schronienia w opuszczonych domach, barakach, składach rur zarządu miejskiego i t. d. Żyją z kradzieży, napadów i rabunków. W tym roku „bezprizorni" — tak nazywają się ci młodociani włóczędzy — zjawili się w takiej ilości, że moskiewscy komisarze policji poświęcili tej „pladze" specjalną konferencję. Według urzędowej „Prawdy", tym razem liczba owych koczowników wynosi 30 000 a więc przeszło dwa razy więcej, niż w roku ubiegłym. Dziewcząt ma być wśród nich około 10.000. Nie ulega wątpliwości, że w ciągu listopada liczebność ich zwiększy się jeszcze conajmniej dwukrotnie. Ponieważ niemożliwą jest rzeczą usunąć ich z całego miasta, więc władze postanowiły oczyścić przynajmniej śródmieście, gdzie cudzoziemcy będą mieli mniej możności zobaczenia tych żebraczych hord „raju" sowieckiego.

Czy są niewinne panny. Przed sądem w Tallinie, stolicy Estonji, odbędzie się wkrótce rozprawa, jakiej bodaj nie notowały kroniki sądowe. Oto niedawno bawiący w towarzystwie prywatnem urzędnik Tomson podczas rozmowy wyraził się, że w Estonji niema ani jednej niewinnej dziewczyny. Obecna przytem niejaka panna Saug kategorycznie zaprotestowała przeciw temu oszczerstwu. Tomson jednak z uporem trzymał się swego twierdzenia, tak głęboko uwłaczającego czci wszystkich młodych panien w Estonji. Ba, wkońcu założył się o sztabę złota, którą obiecał temu, kto mu udowodni, że powiedział nieprawdę. Na drugi dzień w mieszkaniu Tomsona zjawiła się panna Saug i udowodniwszy świadectwem lekarskiem jak dalece był w odniesieniu do niej w błędzie, zażądała dla siebie równowartości sztaby złota, t. j. 960 koron estońskich. Poniewaz Tomson nie chciał wypłacić tej kwoty, rezolutna obrończyni cnoty niewieściej zaskarżyła go do sądu. Rozprawa, która ma się odbyć za kilka dni, budzi zrozumiałe zainteresowanie.

Ciągnienie dolarówki. W poniedziałek 2 b. m. odbyło się 5-te losowanie premij 4 proc. premjowej pożyczki dolarowej III. serji. Ogółem wylosowano 95 premij na sumę 37.500 dol. Główna wygrana 12 tysięcy dolarów padła na numer 40649. Po 3 tysiące dol. wygrały numery: 919593 i 200089. Po 1.000 dolarów wygrały numery: 733276 504411 1449593 773334 221123 1424196 136644. Po 500 dolarów padło na numery: 138688 577801 1392874 952369 234391 942704 37426 1317443 206036 1132871. Po 100 dolarów: 639397 752602 887960 176428 151712 1074309 852245 80911 752989 200078 953196 161980 13453668 338113 757527 810329 36254 205587 1086818 933155 1290669 26203 8021 1463772 870025 264138 1428912 984436 301266 1337164 1106162 1333947 1136079 1458121 1480122 313149 1006958 297661 220922 1111572 1146524 688667 1178556 321885 1479322 46232 649564 285801 129662 705603 231146 1018108 811296 469588 645322 1315754 1427366 1105608 1433603 248144 295077 878184 1309564 1055394 1012465 821830 49706 338106 984302 638118 1034949 1117624 628259 662818 1324644.

Ciągnienie pożyczki budowlanej. Główna wygrana 250.000 padła na numer 884 343. 50.000 zł. wygrał numer 209 419. Po 10.000 zł. wygrały numery 299.812, 760.939, 599,618, 672 807, 158.857, 93.944. 594.722, 541.939, 572.505, 317.052. Po 100 zł. Nr. Nr.: 16722, 741554, 268786, 701002, 204683. 54848, 58881, 734073, 559287, 513960, 302202. 762662, 571036, 40764, 478425, 145487, 429172, 17667, 63241. 621117, 591921, 724328, 139241; 952140. 973900, 513551, 659219, 991779, 913408. 135361. 415688. 911299, 940436. 4262, 713141, 910580, 334408, 98524. 227157. 570749. 538149. 141429, 941076, 153171, 260431; 953479. 333422, 75244, 170330. 140417, 259000. 565317, 17414. 290470, 333303, 802787. 907302, 168490, 559736. 267835, 816745, 401227, 657797, 580732; 884099, 845595, 747154, 60103, 916172, 774705, 663624, 723114, 913045, 185714, 557998. 122332, 516056, 359784, 406413. 93464, 752300. 3333. 315481, 199425, 695673. 674139. 278185. 236687, 878262. 269597. 124979. 790161, 421865. 30177. 929438. 802326, 63689. 255566, 959264, 375519.

Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów swoich prosimy o podawanie także swojego dawnego adresu pod jakim „Rola" przychodziła, abyśmy mogli dawny adres wykreślić a przytem nowy wpisać.

RZECZY CIEKAWE.

Niezwykły podarunek ślubny.

W Szwecji zmarł ostatnio wynalazca popularnej kuchni naftowej „Primus", F. V. Lindquist. Z okazji jego śmierci, prasa zamieszcza szczegóły, dotyczące narodzin słynnego wynalazku.

Pierwsza maszynka „Primus" była podarunkiem ślubnym, jaki dwaj przyjaciele, F. V. Lindquist, podówczas skromny urzędnik „Separator Company", oraz J. V. Svensson, biedny czeladnik ślusarski, ofiarowali jednemu ze swych znajomych. Chociaż „Primus" był pomysłem Lindquista, jednak wykonanie tego pomysłu było zasługą ślusarza Svenssona. Wspólny wynalazek nie stał się przyczyną żadnych nieporozumień między dwoma przyjaciółmi, którzy do końca życia w najlepszej zgodzie pracowali razem nad jego rozwojem.

Przez pierwsze lata Lindquist i Svensson sami fabrykowali maszynki „Primus", oraz sami sprzedawali je. Dopiero po trzech latach firma Hjorth i Getzman wysłała pierwszy transport kuchenek „Primus" zagranicę. Od tej chwili fabrykacja wzrastała z roku na rok, zasilana przedewszystkiem zamówieniami z zagranicy. W chwili obecnej w Lilla Essingen, w pobliżu Stockholmu, istnieją wielkie zakłady „Primus", zatrudniające około 2.000 osób.

Zmarły ostatnio F. V. Lindquist przekazał testamentem przeszło miljon koron dla rodziny, prócz drobnych sum na cele dobroczynne.

Krzywoprzysiężna pani.

W stronie północnej za Tarnopolem na Podolu jest gaj nazwany: Szlachcinieckim; w nim schodzą się granice kilku włości przyległych; w gęstwinie tego lasu, gdzie się granice rozchodzą, znajduje się wysoki kopiec, a na nim figura z ciosanego kamienia w kształcie czworokątnego ostrosłupa.

Od strony zwróconej ku miastu wykuta jest niby kapliczka, od zachodniej półtrzecia krzyża, czyli herb Pilawa, pod herbem zatarte ślady napisu; na wschodniej zaś stronie wykuty jest trzewik białogłowski.

Podanie o tym pomniku takie krąży między gminem:

Bardzo dawno temu, jak między mieszczanami tarnopolskimi, a włościanami Szlachciniec był spór o grunta. Proces miał się rozstrzygnąć na miejscu, więc sama dziedziczka Szlachciniec wyjechała, mówiąc, że i ona i mieszczanie muszą przysięgać; choć dobrze wiedziała, że to nie jej były grunta. Jakoż nabrawszy z swoich gruntów ziemi w trzewiki, stanęła na roli, o którą spór się toczył i wyrzekła: Przysięgam Panu Bogu wszechmogącemu etc., iż ta ziemia, na której stoję, jest moją własną! — Ale zaledwo wykonała krzywoprzysięstwo, w tem samem miejscu padła i nałożyła hołowkoju (umarła). Po pogrzebie tej pani długo bardzo jakaś mara błąkała się po lesie; w czahary zapraszała przechodzących wieczorem, zbłąkawszy ich z drogi; rozpędzała pasące się tam bydło i dusiła owce; a nawet kilkoletnie dzieci pasące trzodę.

Tęczowe wody jeziora.

Małe jezioro Capena, znajdujące się niedaleko Rzymu, jest przedmiotem żywego zaciekawienia w sferach uczonych z powodu związanych z niem niezwykłych zjawisk.

Jezioro zajmuje zagłębienie wygasłego krateru i kilka lat temu nie różniło się w niczem od innych jezior, tak licznych we Włoszech.

Przed kilku laty wody tego jeziora wyschły nagle doszczętnie i stan taki trwał do przedostatniej wiosny.

W maju 1930 roku jezioro znowu wypełniło się wodą z tak niespodziewaną szybkością, z jaką poprzednio wyschło.

Przed trzema miesiącami zaszły nowe niespodzianki. Woda w jeziorze zaczęła się gwałtownie burzyć, mieniąc się przytem coraz innemi barwami.

Nad wodą unosił się wielki słup pary, z głębi jeziora dochodziły stłumione odgłosy, jakby bulgocącej wody.

Zjawiska te wywołały zrozumiałe zainteresowanie. Na miejsce zjechała komisja, złożona z uczonych i przedstawicieli władz.

Jezioro, jakby czekało na tę chwilę, urządziło przybyłym nową niespodziankę.

W oczach komisji uczonych oraz zgromadzonych tłumów miejscowej ludności wyschło z niezwykłą szybkością, odsłaniając jakieś tajemnicze groty i jaskinie, o których istnieniu nikt dotąd nie wiedział. Odpływ wody trwał około godziny, potem woda znów wypełniła krater, ukrywając w swych głębiach nierozwiązaną zagadkę podziemnych jaskiń.

Substancja 300 razy słodsza od cukru.

Jak doniosły francuskie pisma fachowe, dwom francuskim chemikom Bridel i Lavielle udało się wynaleźć substancję 300 razy słodszą od cukru trzcinowego. Materja składa się z połączenia zwykłego cukru winogronowego z drugim składnikiem, nie posiadającym żadnego, albo też bardzo mało smaku. Ten nowy związek otrzymał chemiczną nazwę Steviosid, ponieważ pochodzi od południowo-amerykańskiej rośliny, znanej botanikom pod nazwą Stevia.

Historja widelca.

Dziewięćset lat temu pojawił się widelec w użyciu w Europie. W r. 995 ożenił się syn doży weneckiego Pietro Orseolo, z księżniczką bizantyjską Argilą. Podczas uczty weselnej posługiwała się księżniczka przy jedzeniu łyżeczką złotą oraz dwuzębnym widelcem. Wszyscy inni uczestnicy uczty weselnej posługiwali się palcami. Damy weneckie, idąc za przykładem księżniczki, pozamawiały u złotników widelce podobne temu, jakim posługiwała się Argila.

Dopiero około 1360 roku przyjął się widelec w całej Italji. We Francji wszedł w użycie około r. 1370 na dworze królewskim, a do domów mieszczańskich i szlacheckich przedostał się dopiero około 1550 roku. Do Anglji zawędrował widelec z Wenecji w r. 1608. W ogólne zaś użycie w Europie wszedł dopiero w XVII stuleciu.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Na konkurs „Roli" otrzymaliśmy już kilka utworów, a mianowicie: „Jak powstały narcyzy?", „Odległe echa", „W Wigilję", „Zmiłuj się nad nami", „Nasz podróżny z roku 1914", „Złamana przysięga", „Sen o pogoni za szczęściem". Ocenę tych prac podamy razem z innymi po upływie konkursu. **Rom-Ort w W.:** Z zeszłorocznego konkursu, to cośmy mieli drukować, już wydrukowaliśmy; więcej nie będziemy drukowali. **Stanisław Pejkiel w K. W.:** Pszczoły kaukazkie na większą skalę hoduje p. Juljan Piwowarski w Miechowie i on też sprzedaje matki tych pszczół. Czyby sprzedał cały rój z ulem, nie wiemy.

Ja mam ich tylko dwa pnie. Zalety tychże pszczół opisuje tenże p. Piwowarski w „Pszczelarzu Polskim", twierdząc, że dają one więcej miodu od ras innych, że zbierają miód i z czerwonej koniczyny i że są łagodniejsze od innych. Wadą ich jest, że są skłonne do rabunku. Tak pisze p. Piwowarski, a można mu wierzyć, gdyż jest to jeden z najlepszych pasieczników w Polsce. Ja dostałem od niego pszczoły kaukazkie dopiero w lipcu, więc sam nie mogłem jeszcze ani ich zalet, ani wad dokładnie stwierdzić. Można je hodować w każdym ulu. Jeżeli Pana pasiecznictwo interesuje, niech sobie Pan zaprenumeruje „Pszczelarza Polskiego". Jest to miesięcznik, a prenumerata jego wynosi 10 złotych rocznie. Adres: Łomianki pod Warszawą. **Marja Adamczykowa w Ł.:** Maciuś za miły list dziękuje. Pisząc do druku, trzeba całość lepiej opracowywać. Talent jest, więc trzeba go wykorzystać. **Józef Łamacz w C.:** Utwory Pańskie z powodu nawału materjału czekają w teczce na swą kolej. **A. Sordyl w Z. i Wojciech Lorenc w Ł.:** Z nadesłanych zagadek w miarę miejsca skorzystamy. **Jan Chorodyński w Ł.:** Mój prywatny adres brzmi: Kraków 1, ul. Kielecka 35. Przeważnie w domu jestem przed południem. Na wiosnę będę mógł sprzedać kilka pni pszczół w ulach słowiańskich. **Stefanja Kozicka w Ł.:** Nawet najbiedniejszy potrafi oszczędzić, jeżeli tylko chce, 1 złotego miesięcznie, a właśnie roczna prenumerata „Roli" kosztuje tylko 12 złotych rocznie. Jest to ze względu na objętość gazetki i dobór treści najtańsza gazetka w Polsce. Z nadesłaniem prenumeraty na przyszły rok nie należy zwlekać; im kto wcześniej przyśle, tem dla niego i dla nas lepiej. Łączymy pozdrowienia. **Leopold Wąsik w Z.:** Właśnie w dzisiejszym numerze „Roli" gada Maciuś o bezrobotnych. I my jesteśmy tego zdania, że nie powinno się dawać ludziom zdrowym jałmużny, ale należałoby im za te pieniądze zapewnić choć jaką taką pracę. Dawanie pieniędzy bez pracy prowadzi niejednego na bezdroża, a to ludzi w wysokim stopniu demoralizuje. Wszak na bezrobocie idą miljony; żeby to za te pieniądze można było dokonać pożytecznych prac. **Władysław Płomiński w N. B.:** Artykuł Pański otrzymaliśmy 7 bm., podczas gdy numer cały mamy złożony już w piątek. W sobotę idą tylko uzupełnienia, jak rozwiązania zagadek, odpowiedzi Redakcji i t. p. W poniedziałek korekta, a wtorek i środa druk. Artykuły aktualne trzeba nadsyłać znacznie wcześniej. **Sympatyk:** A jednak Maciuś po piśmie poznał, że to p. J. G. z Wilamowic. Pytał też zaraz czy dużo płaskich kupi za te 20 franków belg. i 10 szylingów afrykańskich i serdecznie dziękuje. **A. X.:** Na razie nie mamy, a gdy się dowiemy, to podamy Panu do wiadomości. **Wojciech Lorenc z Ł.:** Prenumeratę ma Pan zapłaconą do końca roku. Czek wysłaliśmy, okładki również. **Józef Miękinia w N. W.:** Poprzednio kilku z miodem się zgłosiło, a jeżeli ktoś jeszcze będzie potrzebował to damy Panu znać. **Wł. Patejko w G.:** Brakujący numer posłaliśmy. Korespondencję otrzymaliśmy, jednak fakt za mało interesujący, aby go umieścić w „Roli". **Wł. Janczarek w W.:** Do wyrównania jest za czwarty kwartał 3 złote 40 groszy. **Anna Fornalikówna w J.:** Adres: Konsulat Francuski, Kraków, ul. Andrzeja Potockiego, **Stanisław Sikora w L.:** O wspomniane książki niech Pan napisze do księgarni „Wiedza", Kraków, ul. Gołębia 10/R. I sztuki też są tam do nabycia. Załączyć znaczek na odpowiedź. **Antoni K. z Ł.:** Fabryka szkła znajduje się w Ząbkowicach, poczta w miejscu.

Zagadki do nagrody.

1. Konikówka.

(Ułożył Leopold Wołek z Rz.).

się	mie	lec	nos
pa	bie	nie	ten
nie	jąc	są	szczę
ko	ście	wi	ra

Ruchem konika szachowego odczytać znane przysłowie.

2. Szarady.

(Ułożył Józef S. z B.).

I.

Z trzeciej pierwszej tylko będzie
Jedna zgłoska: ta zaś siędzie
Na głowie tryumfatora;
Całość — święta; ta rozsuje
Perły w przecudnych kolorach,
Podziw dla nich każdy czuje.

II.

Trzecie pierwsze głowa trupia
Albo puhar pozłacany;
Całość w gromady się skupia,
By gryźć niszczyć pola łany.

III.

Czwarte pierwsze Raiffaisena,
Pierwsze czwarte znaczy — syczy,
Trzecie zaś zwierz zaginiony,
Drugie pędzi na wsze strony.
Całość siada na kościołach,
Ludzi budzi, księży woła,
Nie namazana skowyczy,
Jak upiór w dziełach Ibsena.

3. Zagadka.

(Ułożył Jan Płodzień z Ch.).

Jeszcze i tę położyć
Zagadkę nie zawadzi,
Kto jest, który sam ślepy
Ślepego prowadzi?

4. Zagadka z zapałek.

(Ułożył Brat January z D.).

Ułożyć 72 zapałki w następującą figurę:

Usunąć 35 zapałek tak, aby zostało ukojenie smutku.

5. Arytmogryf.

(Ułożył Józef Górecki z K.).

✕	1	2	3	4	Miasto w Niemczech.
✕	5	6	7	4	Półwysep w Azji.
✕	8	9	7	10	Miasto w Szwecji.
✕	3	11	12	8	Jezioro w Persji.
✕	8	13	12	14	Rzeka na Syberji.
✕	10	11	7	11	Kraj w Afryce.

Cyfry i krzyżyki zastąpić wyrazami o podanem znaczeniu. Litery na miejscach krzyżyków dadzą rozwiązanie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 20 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 44 „Roli": 1. Konikówka: „Kto czysty wychodzi z przybytku zepsucia, tem większa jego zasługa". 2. Układanki z zapałek: I. Stolica. II. Huculi. 3. Układanki literackie: I. Słonimski. II. Wittlin. III. Lam. IV. Słoński. V. Lechoń. VI. Lemański. VII. Dąbrowski. VIII. Staff. 4. Szarada: Wiewiórka.

W oznaczonym czasie dobrego rozwiązania wszystkich zagadek nikt nie nadesłał, więc też nikt nagrody nie otrzyma. Częściowe rozwiązanie nadesłali pp. Krystyna i Józef Góreccy z K.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika

Dowód.

— Niech obwiniony nie próbuje się zapierać. — Obwiniony jest blady jak płótno...

— Właśnie, panie sędzio, kolor biały jest kolorem niewinności.



Dobre określenie.

Do lekarza dobija się pewien chłop i wzruszony zaczyna wołać:

— Ratuj panie doktorze! Moja żona objadła się i teraz ją boli...

— W rzeczywistości?

— Nie w żołądku.



Ręczy.

— Czy tylko ten płyn naprawdę pomoże na moją łysinę?

— O, niezawodnie, ręczę słowem, że po kilkurazowem użyciu, obrośniecie jak najdziksza małpa.

Giełda płodów rolniczych
z dnia 10 listopada b. r.

Pszenica	24·50—24·75	Słoma długa	7·00—7·50
Żyto .	24·50—24·75	Ziemniaki stoł.	4·75—5·00
Owies . .	24·00—24·50	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	21·50—22·50		
Fasola biała	28·00—30·00	Mąka żytnia	38·00—39·00
Groch zwyk.	27·00—29·00	Mąka pszen.	43·00—44·00
Siano słodk.	12·00—14·00	Otręby pszen.	13·00—13·50
Łubin żółty	00·00—00·00	Otręby żytnie	13·00—14·00
Koniczpastew.	15·00—17·00	Mąka czerw.	18·00—19·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy
w dniu 10 listopada b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 0·60 do 0·72 zł.	Jałownik	od 0·60 do 0·70 zł.
Woły . .	od 0·60 do 0·70 zł.	Cielęta .	od 1·00 do 1·25 zł.
Krowy .	od 0·54 do 0·58 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·25 do 1·40 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 1·50 do 1·75